GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 PAŹDZIERNIKA 1938 R.

Nr. 17-18 ROK VIII

O NIEZALEŻNOŚĆ GOSPODARCZĄ
WITOLD PACZKOWSKI

RACHUNEK CUDZEGO SUMIENIA
TOMASZ KORNICZ

POZIOM CEN A DEWALUACJA
ANTONI TOM

U W A G I
SPRAWOZDANIE NA „URZĄD"
W SPRAWIE OPROCENTOWANIA FUNDUSZU AMORTYZACYJNEGO
LIBERALIZM HOMEOPATYCZNY
HISTORIA PEWNEGO ILOCZYNU
REFLEKSJE UKRAIŃSKIE
PLANOWANIE I PSYCHOLOGIA

N O T A T K I
NIE TYLKO SNOBIZM I PROPAGANDA
SYLWETKA RZECZYPOSPOLITEJ
ROWER NA WSI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 17-18

1938 R.

1 — X

WITOLD PĄCZKOWSKI

O NIEZALEŻNOŚĆ GOSPODARCZĄ

Ustalenie kierunku, z którego zagraża niebezpieczeństwo, jest pierwszym warunkiem skutecznej obrony.

Dokonywująca się w naszych oczach zmiana politycznej mapy Europy oznacza również głęboko sięgające zmiany w jej geografii gospodarczej. Zniknięcie małej Austrii, przejście Sudetów do Trzeciej Rzeszy, powrót Śląska Cieszyńskiego do Polski i ewentualne przesunięcia w granicach czesko - węgierskich bądź już zmieniły, bądź zmienią jeszcze w sposób nie dający się na razie ustalić ustosunkowanie sił i potencjałów gospodarczych w naszym najbliższym sąsiedztwie i wpłyną w sposób wydatny na warunki dalszego współzawodnictwa.

Nie ulega wątpliwości, że do tego nowego startu w międzynarodowym wyścibu pracy Polska staje ze znacznie zwiększonemi siłami i możliwościami. Nawiązanie normalnych — a w przyszłości oby również i przyjaznych — stosunków z Litwą oraz ogromne zwiększenie bogactw surowcowych i spotęgowanie produkcji górniczej i hutniczej wskutek odzyskania Zaolzia, a przede wszystkim powrót do wspólnej ojczyzny setek tysięcy wykwalifikowanych i wychowanych w tradycjach gospodarności pracowników daje nam do rąk nowe poważne atuty i zwiększa nasz ciężar gatunkowy w całokształcie gospodarki europejskiej.

Ale w życiu gospodarczym jeszcze bardziej niż politycznym decydujące znaczenie posiada nie tyle sam *bezwzględny* przyrost własnej potęgi, co przede wszystkim zmiana w *stosunku* własnych sił i zasobów do takich samych elementów u ewentualnych współzawodników. Otóż nie ulega wątpliwości, że obecne zmiany w geografii gospodarczej Europy — w przeciwieństwie do zmian powersalskich — idą w kierunku nowego uprzywilejowania *wielkich* bloków i monolitów gospodarczych. Jeżeli w gospodarce światowej już i przedtem dawała się odczuwać coraz większa przewaga takich dawnych lub nowych kolosów jak potężne „Commonwalth" brytyjskie, jak 100 mil. imperium francuskie, jak Stany Zjednoczone, jak sowiecka „szósta część świata", jak szybko rosnące imperium japońskie lub wykluwające się zgrupowanie Ameryki Łacińskiej — to w Europie środkowej trwał dotąd stan względnej atomizacji narodowo-państwowej. Nie można dzisiaj przewidzieć, gdzie i kiedy zatrzyma się proces całkowania tej części Europy. Ale faktem już całkowicie widomym, a dla naszej sfery wpływów i zainteresowań rozstrzygającym jest powstanie w naszym bezpośrednim sąsiedztwie nowego olbrzymiego monolitu gospodarczego Trzeciej Rzeszy, rozporządzającej nigdy dotąd nie posiadaną potęgą gospodarczą. Blok, liczący po zajęciu Sudetów bez mała 80 milionów mieszkańców, blok równy pod względem swej powierzchni bez mała obszarowi dawnego Cesarstwa Rzymskiego, wobec którego młoda, prężna i szybko rosnąca Polska Piastowska pozostawała długo w stosunku hołdowniczym, blok ściśle scentralizowany i regulujący całe swoje bujne życie gospodarcze z jednego punktu i planowo naginający je do potrzeb swojej ekspansji, — blok taki musi z natury rzeczy stać się pierwszorzędnym czynnikiem, bądź świadomie kształtującym

bądź pośrednio oddziaływującym przez realny fakt swej siły grawitacyjnej na losy i na rozwój swoich bezpośrednich i dalszych sąsiadów.

Jeżeli więc dzisiaj w społeczeństwie polskim góruje przede wszystkim zrozumiałe uczucie dumy i radości z osiągniętych korzyści i z przyrostu realnych sił materialnych i duchowych, to przecież nie wolno zamykać oczu na to, że rozwój obecny stawia przed nami twardą konieczność bardziej niż kiedykolwiek wytężonych wysiłków w celu zachowania i pomnożenia naszej samodzielności gospodarczej, jako niezbędnego warunku i jedynej realnej gwarancji naszej niezawisłości politycznej i naszej potęgi zbiorowej.

Zawsze byliśmy wciśnięci między dwa olbrzymie kompleksy gospodarcze, które górowały nad nami nie tylko bezwzględnymi rozmiarami swej produkcji rolnej i przemysłowej, ale przeważnie i stosunkową wysokością tej produkcji na głowę ludności, jej wielostronnością, szybkością rozwoju, i częściowo prężnością swej ekspansji. Teraz jednak dysproporcje stają się szczególnie jaskrawe. Po wchłonięciu całej Austrii i po przejęciu w Sudetach poważnej części czesko - słowackiej produkcji rolnej a ok. ⅔ całego przemysłu czesko-słowackiego ekonomika niemiecka zdobyła nowy i bardzo ważny handicap we współzawodnictwie międzynarodowym. Handicap ten dotyczy zaś nie tylko produkcji przemysłowej, co dawno już wiadome było naszej opinii publicznej i co może straciło dla niej już charakter niepokojącej i pchającej do ustawicznego wysiłku podniety — ale również i produkcji rolnej. Jeżeli przeliczymy dane Małego Rocznika Statystycznego względnie niemieckiego „Jahrbuch" o produkcji rolnej i o pogłowiu zwierząt gospodarskich na głowę ludności, to stosunki w Polsce i u jej najważniejszych sąsiadów przedstawiały się w roku 1936 jak następuje:

	Na głowę ludności przypada w kwintalach			Na 100 mieszk. przypada:	
	4 głównych zbóż	ziemniaków	burak. cukr.	koni, byd. i trzody	koni b. trzody i owiec
Niemcy wraz z Austrią	3.02	6.60	1.76	72.0	83.1
Czechosłowacja	3.93	7.08	3.13	60.8	65.0
Polska	3.63	9.94	0.74	67.1	73.4

Mimo więc, że jesteśmy krajem typowo rolniczym i że ogromna większość ludności u nas żyje z rolnictwa, to jednak wskutek fatalnej struktury agrarnej i wskutek zacofania technicznego nasza produkcja rolna w stosunku do zaludnienia pozostaje na ogół w tyle za naszymi sąsiadami. Produkcja zbożowa na głowę ludności jest u nas niższa niż w Czechosłowacji, a tylko cokolwiek wyższa niż w Niemczech. Produkcja buraków cukrowych jest najniższa, a wyraźną i częściowo bardzo znaczną przewagę mamy tylko w produkcji ziemniaków, uprawianych głównie przez chłopa i stanowiących główną podstawę spożycia chłopskiego w Polsce. Podobnie niepomyślny jest układ stosunków w zakresie zwierząt gospodarskich. Jeżeli zsumować pogłowie koni, bydła i trzody, to okaże się że w stosunku do Rzeszy stoimy wyraźnie w tyle, nawet jeżeli pominąć znacznie gorszą u nas jakość inwentarza. Pewną przewagę nad Niemcami posiadamy tylko w zakresie pogłowia koni, co jednak jest tylko przejawem naszego zacofania motoryzacyjnego. Natomiast pogłowie bydła jest u nas niemal identyczne (przy znacznie mniejszej wydajności ubojowej i mleczności), pogłowie zaś trzody jest u nas stosunkowo znacznie mniejsze niż w Niemczech. Jeżeli więc pomimo to Rzesza jest wielkim importerem płodów roślinnych i zwierzęcych, my zaś nasze ambicje kładziemy głównie w zwiększeniu eksportu rolnego, to przejawia się w tem tylko jaskrawa niewspółmierność rezerw aprowizacyjnych i dobrobytu społecznego w obu krajach. Trzecia Rzesza, jak wiadomo, woli wyrabiać więcej armat niż masła, mięsa i chleba, ale mimo to nawet tego masła, mięsa i chleba wytwarza stosunkowo więcej niż my.

Od dawna pogodziliśmy się już z tem, że nasi sąsiedzi zachodni potrafią wydobyć więcej tłuszczów, białek i węglowodanów *z każdego hektara* powierzchni swego gruntu. Ale ponieważ główna masa ludności jest tam zatrudniona w handlu i przemyśle, więc na ogół pozostawaliśmy w przeświadczeniu, że przecież nadwyżki żywnościowe są u nas większe. I odwrotnie, — ponieważ średnia urodzajność z hektara i technika lub organizacja hodowli była u nas lepsza niż za wschodnim kordonem, więc chętnie zapominaliśmy o tem, że znacznie rzadsze zaludnienie a może i wysiłki racjonalizatorskie dają w ostateczności w ZSRR większe nie raz niż u nas zaopatrzenie rolnicze na głowę ludności.

Jeżeli jednak nasza częściowa niższość w zakresie produkcji rolnej nie była dotąd w całej pełni przez nas uświadomiona, to nasz niedorozwój przemysłowy w stosunku do sąsiadów jest faktem tak notorycznie znanym i tak różnostronnie zużytkowanym publicystycznie i propagandowo, że nie ma żadnej potrzeby rozwodzić się na tem tutaj. Trzeba tylko stwierdzić, że proces tężenia Europy środkowej w wielkie kompleksy państwowo-gospodarcze wyjaskrawi ten nasz niedorozwój i wzmoże jego niebezpieczeństwa nawet w tym wypadku, jeżeli nie doprowadzi do dalszych niekorzystnych przesunięć w podziale sił produkcyjnych. Z jednej bowiem strony powstawanie większych niż dotąd bloków gospodarczych oznacza nie tylko inne przetasowanie tych samych elementów ale i tworzenie *nowych organizmów gospodarczych o większej niż dotąd prężności dyspozycyjnej i o większym rozmachu ekspansywnym.* Z drugiej zaś strony proces ten oznacza zmniejszenie naszych możliwości dyspozycyjnych. Im mniejsza jest bowiem liczba i im większa jest gospodarcza i pozagospodarcza potęga naszych partnerów europejskich, tem mniej elastyczne i mniej skuteczne stają się wszystkie dźwignie naszej polityki kredytowej czy dewizowej, dźwignie porozumień celno - handlowych, taryfowych i innych. Nawet więc bez dalszych niekorzystnych przemian w stanie i rozwoju sił wytwórczych zachowanie swobody ruchów i niezależności gospodarczej stanie się dla nas zapewne trudniejszym niż dotąd zadaniem.

A przecież możliwość celowego wpływania na rozwój sił wytwórczych w niekorzystnym dla nas kierunku bynajmniej nie jest wykluczona. Zachodzące obecnie przemiany polityczne uzbrajają wszak w niebywałe dotąd środki działania tę koncepcję gospodarczą, która zmierza do uwiecznienia technicznej, przemysłowej, handlowej i finansowej przewagi wielkich mocarstw, zaliczających się do Europy A nad surowcowymi i przeważnie agrarnymi krajami Europy B. Koncepcja ta zaś jest jednakowo groźna dla naszego

rozwoju i naszych interesów niezależnie od tego czy przybiera postać nawrotu do wojennego hasła „Mitteleuropy", czy występuje pod płaszczykiem jakiegoś „Bloku Czterech".

Prawda, że zasadniczo opinia polska jest na punkcie obrony naszej samodzielności gospodarczej zupełnie jednolita. Poczynając od Romana Dmowskiego, który głosi, że na gruzach dotychczasowego monopolu przemysłowego mocarstw zachodnich może i powinien nastąpić rozkwit przemysłowy Polski, — poprzez wicepremiera Kwiatkowskiego, który w odwracaniu się od źródeł naszej siły na zachodzie i w kierowaniu się ku źródłom naszej słabości na wschodzie widzi dziejową przyczynę wszystkich klęsk i bolączek naszej przeszłości i teraźniejszości, — aż do socjalistów i komunistów, piorunujących na „kolonialne ujarzmienie Polski przez kapitał zagraniczny", — wszystkie obozy i wszystkie kierunki ideowe wyznają program „dźwignięcia Polski wzwyż". W praktyce jednak ta jednomyślność rozłamuje się na różne przeciwstawne „orientacje" gospodarcze. Nie pora tutaj na banalną dyskusję, czy i o ile niezależność gospodarcza Polski da się pogodzić z „naśladowaniem" wzorów wschodnich lub zachodnich. Trzeba natomiast wskazać na te *konkretne* czynniki, które w dzisiejszej przemysłowej epoce obiektywnie ułatwiają *przenikanie określonych wpływów zagranicznych* do polskiej polityki gospodarczej.

Nie można przy tem, oczywiście, mówić bez jajaskrawej przesady propagandowej o możliwości przenikania w dzisiejszych warunkach wpływów tego rodzaju z olbrzymiego laboratorium sowieckiego. Przy krańcowej odmienności struktury społecznej, przy dzisiejszym zupełnym niemal przecięciu wszelkiej wymiany dóbr materialnych i duchowych, przy niemożności jakichkolwiek stosunków kapitałowych i przy niesłychanie wrogiej postawie olbrzymiej większości dysponentów naszego życia gospodarczego, wpływ taki realnie nie może dzisiaj wchodzić pod uwagę.

Bardziej już można by mówić o penetracji wpływów zachodnich i zamorskich mocarstw „demokratycznych". Jeżeli idzie jednak o najgroźniejszą postać takiego przenikania (w postaci np. supremacji „bloku czterech"), to jednomyślny i bezwzględny odpór całego społeczeństwa nie może ulegać żadnej wątpliwości. Gdy zaś mowa o innych, bardziej prywatno - kapitalistycznych formach przenikania, to trzeba sobie powiedzieć wyraźnie, że brak wspólnej granicy i bezpośredniego sąsiedztwa nie tylko praktycznie uniemożliwia popieranie ewentualnie zdobytych wpływów bezpośrednim naciskiem pozagospodarczym i znakomicie łagodzi ujemne skutki tego zjawiska, ale nawet w pewnej mierze rodzi wspólność interesów i czyni zjawisko przenikania pożądanym. Wystarczy tu wspomnieć choćby o potrzebie kredytów zagranicznych i o stałym postulacie naszej polityki gospodarczej wolnego krążenia kapitałów i ludzi z kraju do kraju.

Inaczej jednak stoi sprawa w stosunku do ekspansywnych dążności naszych sąsiadów bezpośrednich. Wiadomo np. powszechnie, jak ujemną rolę w naszym rozwoju gospodarczym odegrało choćby jednostronne uzależnienie naszego zagranicznego obrotu towarowego od rynku niemieckiego. Trzeba stwierdzić ten niewątpliwy fakt, że ogromna a do niedawna nawet dominująca rola rynku niemieckiego w naszym przywozie i wywozie płynęła nie tylko z geograficznego faktu sąsiedztwa i nawet nie tylko z utartej tradycji, z utartych zwyczajów i stosunków handlowych ale i stąd, że *Polska i Niemcy w bardzo znacznym stopniu uzupełniają się gospodarczo.* Ale trzeba sobie uświadomić, że właśnie ten fakt „uzupełniania się" czyni jednostronność obrotów handlowych czemś gorszym, niż nawet zwykłe pójście *po linii najmniejszego oporu.* W historii bowiem stosunków międzypaństwowych „uzupełnianie się" takie oznacza po prostu, że państwo niemieckie „uzupełniało" nas całym bezcennym dorobkiem swej wiedzy technicznej, swej sprawności organizacyjnej, swego rozgałęzionego aparatu handlowego, swego skoncentrowanego bogactwa i dobrobytu, podczas gdy nam pozostawało tylko „uzupełniać" Rzeszę chyba naszym analfabetyzmem ogólnym i gospodarczym. Im bardziej jednostronnie kształtowały się obroty handlowe polsko - niemieckie, tem bardziej obrót ten skupiał w sobie wszystkie ujemne tendencje, właściwe wszelkiemu wysoko rozwiniętemu kapitalizmowi do uwiecznienia swego monopolu i do utrzymania słabszego partnera na poziomie przydatku surowcowo - żywnościowego.

Nie trzeba więc nawet iść tak daleko, jak pan wicepremierKwiatkowski, który wymownie i z wielką erudycją, powołując się na największe autorytety niemieckie, dowodzi [1]), że państwo niemieckie nigdy nie pogodzi się z istnieniem niezawisłego państwa polskiego.

Nie trzeba nawet iść tak daleko jak Władysław Grabski, który za czasów swego premierostwa musiał stoczyć pierwszą wielką wojnę gospodarczą polsko - niemiecką w obronie naszej niezależności ekonomicznej, a który w książce będącej jego faktycznym testamentem społeczno - gospodarczym nie zawahał się scharakteryzować program „oparcia się na Niemczech" jako „mniemanie antypaństwowe, ślepe i nieopatrzne" [2]). Wystarczy stwierdzić, że różnice w postawie kierowników Trzeciej Rzeszy w porównaniu z postawą kierowników Cesarstwa i Drugiej Rzeszy mogą mieć charakter tylko taktyczny, a więc przejściowy. Przede wszystkim jednak wystarczy wskazać na ten fakt niewątpliwy, że nasza *zależność* gospodarcza uwidoczniała się w stosunkach z potężnym sąsiadem niemieckim jaskrawiej niż z jakimkolwiek innym mocarstwem kapitalistycznym i, że wskutek tego większość naszych zdobyczy w zakresie uniezależnienia się gospodarczego musiała być osiągana w walce z supremacją niemiecką. Nie mówimy tu już nawet o akcji spolszczenia wielkiego przemysłu górnośląskiego. Ale czy trzeba przypominać te wszystkie dobrodziejstwa wojny celnej polsko - niemieckiej (pomimo ciężkich ofiar) dla rozwoju własnego przemysłu przetwórczego, dla zdobycia szeregu nowych rynków zagranicznych, dla stworzenia własnego portu morskiego Gdyni, dla nawiązania stosunków międzynarodowych i szkolenia własnego wykwalifikowanego aparatu handlowego itp.? Jeżeli przed wojną celną, wr. 1924, udział Rzeszy w polskim imporcie wynosił więcej niż trzecią część (34.4%), a w eksporcie

---

[1]) „Dysproporcje" — str. 152 — 153.

[2]) Wł. Grabski „Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej", str. 265 — 266.

zbliżał się nawet do połowy (43.2%), to wskutek wojny celnej udział ten zniżył się w roku 1928 do 26.9% w przywozie i 34.3% w wywozie, a w latach późniejszych spadł jeszcze niżej, — do 14% w roku 1937. Ale obrót handlowy z Niemcami ma jeszcze i do dziś dnia charakter najbardziej jednostronny. Jeżeli wziąć trzy państwa zagraniczne, z którymi Polska ma najsilniejsze obroty, tj. Anglię, Niemcy i Stany Zjednoczone, to struktura przywozu i wywozu w roku 1937 była następująca:

Z Anglii przywieźliśmy ogółem za 149 mil. zł. W tem samych śledzi — za 16 mil. zł, wełny za 21, przędzy niedoprzęd. za 11, szmat za 9½, żelastwa za 8, skór za 10, bawełny za 3, rud za 2 mil. zł itp., czyli razem najważniejszych środków spożywczych i surowców za 80 milionów, podczas gdy import maszyn i aparatów wyniósł tylko 16 mil. zł, środków transportowych — 8, wyrobów włókienniczych —7, przetworów chemicznych — 5 itp. Na ogół więc przeważa import surowcowy. Analogicznie sprawa wygląda ze Stanami. Z ogólnej sumy 149 milionów zł importu więcej niż ⅔ przypadło na samą tylko bawełnę (70 mil zł) i na żelastwo (31 mil. zł), podczas gdy import maszyn, apartów i środków transportowych wyniósł tylko 19 mil. zł, przetworów chemicznych tylko 2 mil. zł itp. Natomiast ze 145 milionów zł importu niemieckiego na same tylko maszyny i środki transportowe przypadło więcej niż połowa (76 mil.), na przetwory zaś chemiczne, papier, wyroby włókiennicze itp. — jeszcze 33 miliony, czyli, że tylko na najważniejsze artykuły przemysłowe przypadło ponad ⅔ importu. Kontrast więc z Anglią lub Ameryką jest uderzający.

Jak zaś stoi sprawa z eksportem? Do Anglii z 219 milionów ogólnego wywozu przypadło bądź co bądź 89 mil. na półprodukty lub materiały drzewne, 62 mil. na przetwory mięsne itp., czyli eksport ten w ⅔ był eksportem choćby częściowo uszlachetnionym. Do Ameryki ze 101 mil. zł ogólnego eksportu na same tylko najważniejsze przetwory mięsne przypadła więcej niż połowa (54 mil. zł). Natomiast do Niemiec wywozimy drzewo niemal w całości nieobrobione, pozatem zaś głównie surowe produkty rolne, jak zboże, nabiał, zwierzęta żywe, surowce przemysłowe itp.

A w dodatku ten najjaskrawiej wyrażony stosunek kolonialny czy półkolonialny wymiany towarowej polsko - niemieckiej jest niepokojący dlatego, że nie tylko nie wywołuje jednomyślnego sprzeciwu opinii społecznej, lecz nawet znajduje gorliwych obrońców w niektórych wpływowych kołach dysponentów naszego życia gospodarczego. Słyszymy mianowicie często, że stosunkowo wysokie dziś ceny niemieckie za nasze zboże, za drzewo nieobrobione itp. dają takie korzyści rolnictwu, że okupują stratę gospodarczą, płynącą ze stwarzania konkurencji dla naszego przemysłu przetwórczego. Jeżeli dołączymy do tego postawę duchową niektórych kół handlowo - przemysłowych, urzędniczych i inteligenckich, przyjazną dla socjalnej ideologii hitleryzmu oraz przesadnie oceniającą istotne lub rzekome osiągnięcia nauki, techniki i organizacji niemieckiej — to okaże się, że możliwości penetracji wpływów niemieckich do ekonomiki polskiej są obiektywnie pokaźne.

Trzeba jednak z naciskiem stwierdzić, że tego rodzaju tendencje polityczno-gospodarcze, odpowiadające doraźnym interesom grupowym, są z samego założenia sprzeczne z podstawową gospodarką racji stanu Polski. Gdyby bowiem przyjąć nawet, że różnica pomiędzy poziomem niemieckich i światowych cen eksportowych na zboże nie jest tylko zjawiskiem przejściowym, podyktowanym przez politykę gromadzenia wojennych rezerw aprowizacyjnych, to i tak pozostanie faktem, że wszelka rezygnacja z interesów uprzemysłowienia opóźnia albo uniemożliwia usunięcie fundamentalnej bolączki naszego przeludnienia agrarnego, czyli jest sprzeczna z życiowymi interesami również i samego rolnictwa, wziętego w swym całokształtcie. A przecież chodzi tu nie tylko o samo rolnictwo. Im większym źródłem słabości wobec naszych sąsiadów jest dzisiejsze uwstecznienie gospodarcze Polski, tem większe stwarza ono dla nas rezerwy produkcyjne na przyszłość. Polska ma również poważne możliwości stania się równorzędnym ośrodkiem grawitacyjnym innego wielkiego kompleksu terytorialnego i gospodarczego. Ale możliwości te zależą przede wszystkim od naszej maksymalnej prężności w rozwijaniu swych własnych niewyzyskanych dotąd i uśpionych sił produkcyjnych. Samo już tylko naprawienie zaniedbań dotychczasowych, samo wyrównanie poziomów lub choćby złagodzenie rozpiętości między naszymi zasobami i zasobami naszych bliższych i dalszych sąsiadów może spowodować radykalne przesunięcie na naszą korzyść w europejskim ustosunkowaniu sił i potencjałów gospodarczych. Ale pierwszą przesłanką tego jest niezłomna dalsza obrona i pomnażanie naszej samodzielności gospodarczej, dalsze wysiłki industrializacyjne, dalsza praca nad upełnorolnieniem i w ogóle nad uzdrowieniem struktury agrarnej i nad pomnażaniem w ten sposób dobrobytu kultury i sprawności organizacyjnej. Od nas tylko zależy, czy nasze zacofanie dotychczasowe zdołamy uczynić źródłem wzmożenia naszej potęgi. Pamiętać jednak musimy, że czasu mamy na to coraz mniej. Jak słusznie podkreślił pan wicepremier Kwiatkowski w swym referacie o kryzysie współczesnym i o zagadnieniu odbudowy życia gospodarczego [3]):

> „wszystkie państwa i ich producenci zrozumieli choćby podświadomie, że albo będą się systematycznie zbliżali do poziomu metod produkcyjnych swych protagonistów, albo stopniowo staną się ich łupem i niezdolną do konkurencji ofiarą”.

---

[3]) Referat wygłoszony w Zw. Izb i Org. Roln. w dniu 27 lutego 1935 r., str. 22.

TOMASZ KORNICZ

RACHUNEK CUDZEGO SUMIENIA

Nie strzelajcie do grajka — robi co może.

Jaka polityka gospodarcza zasługuje na nazwę dobrej? Przypuśćmy, że zastosujemy miarę, którą ewangelia każe stosować do czynów ludzkich: „Po owocach ich poznacie ich”. Na pewno miara najbardziej słuszna. Ale jakżeż trudna do zastosowania. Bo jak odróżnić to, co w całości lub w dużej części jest rezultatem świadomego działania polityczno-gospodarczego, od tego, co wyrosło samoczynnie, pod wpływem dajmy na to falowań koniunkturalnych. Brak nam zresztą niespornego miernika dla wartościowania osiągnięć polityki gospodarczej. Inną zupełnie wartość przywiązywać będziemy do danego rezultatu polityki gospodarczej mierząc go potrzebami chwili bieżącej, inną, spoglądając nań w perspektywie dłuższego czasu. Nigdy ocena nie będzie wolna od bardzo daleko idącego subiektywizmu. Jeśli nie w innej postaci, to w postaci takiego lub innego przewidywania dróg przyszłego rozwoju gospodarki światowej i polskiej, i różnej pod tym kątem oceny teraźniejszości.

Myślę też, że nie byłoby słuszne oceniać pewien kierunek polityki gospodarczej tylko pod kątem osiągniętych rezultatów. Są błędy, które łatwo rozgrzeszyć. Są błędy, które mają nawet znaczenie wychowawcze. Są także sukcesy, które mszczą się bardzo prędko. Któż obiektywny i rozsądny może mieć pretensję do błędów, wynikających z oparcia się o prognozę, której nikt w kraju czy nawet na świecie nie kwestionował? Któż uczciwy i rozumny odmówi wartości próbom skierowania polityki na tory trudniejsze, jak się to zwykło mówić — bardziej długofalowe, i mniej kuszące się o efekt doraźny, jeśli nawet tendencje te „nie chwycą”, nie znajdą echa w społeczeństwie, nie znajdą sprawnych wykonawców, nie będą miały w danej fazie koniunkturalnej warunków realizacyjnych, dostatecznie korzystnych. Jakżeż łatwo zmienić ocenę pewnego kierunku polityki gospodarczej przechodząc od wyliczenia tego, co zostało osiągnięte, do listy tych zadań, które rzekomo czy naprawdę mogły być podjęte i rozwiązane, Niezmiernie rzadko można rozstrzygnąć w sposób zupełnie niesporny kwestię, czy Rząd mógł się o dany cel kusić i go osiągnąć, i nie podejmując danej próby popełnił zaniedbanie, czy też odwrotnie, słusznie z niej zrezygnował. Tylko eksperyment dawać by mógł rozstrzygającą odpowiedź na takie pytania, a na to w polityce gospodarczej nie ma zazwyczaj miejsca. Jakżeż łatwo przy ocenie pewnego okresu w polityce gospodarczej Państwa zapomina się o tem, że u progu tego okresu ilość znanych przesłanek do rozwiązania problemów gospodarczych jest z reguły niepomiernie mniejsza niż w momencie krytyki i oceny po zamknięciu danego okresu, po czasie.

Sam termin „kierunek polityki gospodarczej Rządu” jest już olbrzymim uproszczeniem. Kierunek ten to zawsze krzywa. Jest to linia łamana, oscylująca około osi, pod wpływem czasem nieuchronnych, a czasem małodusznych kompromisów z rzeczywistością społeczno - polityczną. Gdzie i kiedy przekracza się miarę słusznego kompromisu, gdzie i kiedy zaczyna się niezdrowy oportunizm — obawa przed polityką niepopularną, polityką, która choć słuszna, będzie zwalczana, — toć przecie pytania, na które dać odpowiedź jest sztuką nie mniejszą od zachowania właściwej granicy kompromisu.

Łatwo, jasno i zdecydowanie można odpowiedzieć tylko na pytanie, jaka polityka gospodarcza jest na pewno zła. Zła jest ta polityka, której brak czynnika woli. Ta polityka, która nie realizuje nawet tego, co sama uznaje i prezentuje jako aksjomaty. Zła jest ta polityka, która nie widzi rzeczywistości, nie ma odwagi rewidowania swych założeń w obliczu przemian, w tej rzeczywistości zachodzących. Mechaniczne przenoszenie obcych recept to taki sam błąd, jak trwanie przy raz ustalonej recepcie, jeśli własne lub cudze doświadczenia wskazują na nieskuteczność lekarstwa. Zła jest taka polityka, która przez lenistwo myślowe powtarza cudze lub własne błędy, mimo, że błędy te zostały już „skatalogowane”, zanalizowane i ocenione. Zła wreszcie jest polityka pozbawiona ambicji, taka polityka, która unikając wszystkich powyższych błędów, ogranicza się do rozwiązywania bieżących problemów, nie kusząc się chociaż w pewnej mierze — niezbędne „minimum nie jest możliwe do określenia — o przekształcanie rzeczywistości, o tworzenie dzisiaj podwalin dla jutra.

Zarzuty w stosunku do określonego kursu polityki gospodarczej mogą dotyczyć bądź trafności wyboru kierunku, bądź sprawności i konsekwencji w realizowaniu wybranych wytycznych. To drugie zagadnienie daje niepomiernie szersze pole dla ściśle obiektywnej oceny, daje niepomiernie większe możliwości dla niespornego udokumentowania swych twierdzeń. Szersza opinia z jednej strony, a z drugiej publicyści ekonomiczni stojący dalej od zagadnień praktycznych, zagadnień dnia codziennego, mają jednak skłonność do lekceważenia, czy raczej spychania na drugi plan tego zagadnienia. Sądzę, że jest to bądź rezultatem niedoceniania złożoności i trudności problemów realizacyjnych, bądź naiwnej wiary w automatyczną że się tak wyrażę skuteczność szczęśliwej recepty gospodarczej — co zresztą wiąże się z sobą nawzajem.

Bliższe zetknięcie się z rzeczywistą rzeczywistością, parę lat praktycznego współudziału w pracach polityczno-gospodarczych, uczy jednak traktować sprawy celów z jednej, a metod i środków działania polityki gospodarczej z drugiej strony jako sprawy równorzędne, ba, skłania nawet do dawania pewnego prymatu zagadnieniu *„jak”* jest i może być realizowana dana polityka, przed zagadnieniem *„co”* pragnie ona osiągnąć. Wynika to ze zdania sobie sprawy, że bardzo rzadko jakieś posunięcie polityczno - gospodarcze, ma tylko jedną stronę, białą lub czarną, i że każde działanie polityczno - gospodarcze obok skut-

ków zamierzonych dawać musi pewne skutki uboczne, niezamierzone. Sztuka kierowania polityką państwową to w praktyce umiejętność wyceny salda dobrych i złych stron pewnego posunięcia, umiejętność wyboru mniejszego zła, czy też większego dobra, oraz umiejętność pomniejszenia skutków ujemnych, związanych z danym działaniem, a nie tylko osiągnięcia jego pozytywnych celów.

Na przykład każdy najskrajniejszy nawet zwolennik dewaluacji przyzna, że w każdym kraju, a tem bardziej w Polsce, mogą się z tym zabiegiem łączyć momenty paniki, o daleko idących konsekwencjach. Tak, jak znowu najskrajniejszy zwolennik reglamentacji dewizowej nie zaprzeczy, że musi ona mieć ujemny wpływ na rozmiary otrzymywanego od zagranicy kredytu towarowego. Wybór właściwego momentu i właściwej techniki realizacyjnej, właściwe zaprezentowanie danego zabiegu opinii krajowej i zagranicznej w olbrzymiej mierze zdecydować mogą czy i w jakim stopniu zrealizują się ryzyka, związane z tym lub innym wymienionym wyżej kierunkiem działania.

Inny przykład. Reglamentacja handlu zagranicznego ma na celu względy bilansowe. Lecz jednocześnie przekształca strukturę aparatu — może ją zepsuć lub naprawić. Uboczne, nie związane z celem głównym skutki reglamentacji — zależne od sposobu jej wykonywania — a mianowicie wspomniane zmiany strukturalne, mogą na dalszy dystans wywołać w bilansie handlowym wahania silniejsze od tych, które bezpośrednio osiąga reglamentacja. Na tle takich i temu podobnych problemów rozstrzygają się sprawy tak pierwszorzędne, jak zaufanie społeczeństwa do ośrodków dyspozycji polityczno-gospodarczej, lub stosunek czynników gospodarczych do administracji gospodarczej.

Przywiązując tak dużą wagę do zagadnień realizacyjnych, uważam za doniosłe stwierdzenie, że w stosunku do naszej obecnej polityki gospodarczej nie są podnoszone poważniejsze zarzuty w płaszczyźnie zagadnienia sprawności. Nie znaczy to, aby zarzutów takich nie można było podnieść. Nic łatwiejszego. Nasze metody działania w polityce gospodarczej są niezmiernie często zdecydowanym prymitywem. Ale też nie wolno zapominać o tem, że aparatura, którą możemy się posługiwać, jest uboga i zawodna w działaniu. Twierdzi się nieraz, z dużą słusznością, że nadal nadużywamy norm o charakterze przymusu. Twierdzi się nieraz, z dużą słusznością, że nadal Państwo bierze na swoje bezpośrednio barki wiele zadań, które w zasadzie mogłyby być wykonane przez kogo innego, działającego w ramach, określonych przez Państwo i w kierunku przez Państwo wytyczonym. Przypomnijmy sobie jednak — nie próbując tu wymienić choćby nawet tylko trochę poważniejszej części przyczyn — że zarówno na terenie państw liberalnych jak i na terenie państw totalnych polityka gospodarcza dysponuje niedostępnymi dla nas środkami, zwalniającymi bądź od stosowania przymusu, bądź od przejmowania działań wykonawczych we własne ręce. Znaną jest przecież rzeczą, że w Anglii np. państwo nie potrzebuje w wielu wypadkach wglądać w szczegóły, zajmować się drobiazgową kontrolą, że wystarcza — nieraz telefoniczna — prośba czy zalecenie, zwrócone do najpoważniejszych ośrodków prywatno - gospodarczych. Znaną jest rzeczą również, że kraje totalne w wielu wypadkach budują swe oddziaływanie na tak skutecznych i elastycznych środkach nieadministracyjnego przymusu, jakimi jest przymus moralny i kontrola społeczna czy partyjna. W konsekwencji jeśli chodzi np. o zagadnienia wycofywania wkładów lub lokowania oszczędności za granicą, my poprostu musimy być finansowo przygotowani na ewentualne zwiększenie wypłat w zbiornicach oszczędnościowych i ustawowo uzbrojeni w celu nie wypuszczenia pieniędzy za granicę. Natomiast jedne z krajów zachodnich mogą tu liczyć na dużą skuteczność apelu, skierowanego do obywateli względnie do banków, inne na to, że sylwetka w brązowej lub czarnej koszuli znakomicie ochroni płynność instytucji kredytowych, samym pojawieniem się powodując topnienie ogonków przed kasami.

Dla oceny sprawności działania obecnej polityki gospodarczej wolno stosować jedno jedyne kryterium — kryterium porównawcze. I jeśli spojrzymy w niedawną przeszłość, to obiektywna, uczciwa odpowiedź na pytanie, czy nasza obecna polityka gospodarcza sprawniej realizuje swe cele, nie może wypaść inaczej niż pozytywnie, pomimo większej czy mniejszej ilości zastrzeżeń. Przypomnijmy sobie okres zwany okresem polityki deflacyjnej. Ten okres, kiedy Polska miała jeden z najniższych wskaźników produkcji, a jednocześnie pewne organy prasowe, zapraszały" zachodnio-europejskich ministrów gospodarczych na naukę do Polski, jak się to mociumpanie powinno robić politykę gospodarczą. Nie chodzi mi o słuszność ówczesnego kursu, którego przez pewien okres czasu jak większość zajmujących się polityką gospodarczą w Polsce, byłem zwolennikiem. Bez względu na zasadnicze stanowisko musi się przyznać, że w okresie polityki deflacyjnej zaledwie przez kilka krótkich momentów rzeczywiste działania polityki gospodarczej odpowiadały w dość znacznej mierze temu, co było jej oficjalnym celem. Natomiast końcowy etap tego okresu znamionowała całkowita niemal rozbieżność pomiędzy celami a rzeczywistymi bieżącymi działaniami, boć przecież tylko w odniesieniu do kredytu prywatnego zachowano nieskażoną tendencję deflacyjną, przy równoczesnych antydeflacyjnych działaniach w postaci ukrytej, systematycznie spóźnionej i nieskutecznej inflancji (i to na cele budżetowe) oraz podnoszenia obciążeń podatkowych.

Obecny kurs polityki może być uważany za słuszny lub nie, nie sposób jednak zaprzeczyć, że z grubsza jest tem, czem ma być. Jest ostrożnym, łagodnym nakręcaniem koniunktury poprzez działania inwestycyjne, nie pozbawione poważniejszego znaczenia pod kątem strukturalnym. Jest okresem skrępowania kontaktów ze światem, bez podejmowania prób świadomego, umyślnego odgradzania się od świata. Może ktoś powiedzieć, że jest to polityka połowiczna, niezdecydowana. O tem pomówimy za chwilę. W każdym razie jednak jest to polityka *realizowana*. Oczywiście zdanie powyższe nie brzmi jak panegiryk. Ktoś może uważać, że to jest bardzo mało. Sądzę jednak — odwołując się do wspomnień niezbyt dawnej przeszłości — że jest to conajmniej sporo.

Oczywiście niepomiernie więcej zarzutów słyszymy na temat kierunku obecnej polityki gospodarczej.

Przede wszystkim wspomniany już wyżej zarzut połowiczności, niedokonania wyboru pomiędzy linią liberalizmu, dewalucji, wiązania się z gospodarką światową, stawki na procesy automatyczne, na niski poziom cen — a linią nakręcania koniunktury, interwencjonizmu, troski o cele strukturalne, chociażby kosztem potrzeb dnia dzisiejszego, dążenia do autarkicznego uniezależnienia się od zagranicy. Na tle tej połowiczności, która z pewnością jest faktem, jedni domagają się wyraźnego zwrotu w jednym, inni w drugim kierunku. Są wreszcie tacy, którzy poprostu domagają się zwrotu w tym lub innym kierunku, byle był zdecydowany, byle stanowił zerwanie z próbami kompromisu pomiędzy ogniem i wodą.

Refleksem tendencji skierowania polityki Rządu w sposób zdecydowany ku jednemu lub drugiemu modelowi są wykluczające się nawzajem zarzuty z jednej strony niedostatecznego wykorzystania poprawy koniunkturalnej, „zmarnowania koniunktury", nie obniżania poziomu cen do poziomu światowego, bądź przez zabiegi natury walutowej bądź inne, nieodbudowania „normalnego" prywatnego rynku kredytowego, z drugiej zaś niedostatecznej śmiałości i skali w inwestycjach publicznych, nadmiernego jeszcze klasycyzmu w polityce kredytowej i pieniężnej, niedorównania w tempie rozwoju produkcji, przyrostowi ludności itp. itp.

Zarzutów jest dużo, słuszności w nich — napewno mnóstwo, ale reakcja szarego człowieka na te zarzuty jest czemś pouczającym i osobliwym. Wspominam o tej reakcji dlatego, że stanowi ona niewątpliwie poważny kapitał, ponadto zaś — powód to natury „prywatnej" — że refleksje na temat takiej właśnie postawy szarego człowieka są w dużej mierze źródłem niniejszego artykułu. Otóż szary człowiek słucha chętnym uchem tych lub owych zarzutów, niektóre z nich przyswaja sobie, o ile są zbieżne z jego interesami, poczem spokojnie nie traci zaufania do polityki gospodarczej. Oczywiście nasilenie i krytycyzmu i zaufania występuje w różnej mierze w różnych środowiskach. Jednakowoż jest faktem chyba bezspornym, że skala zaufania, że kredyt moralny, udzielany Rządowi, jest niepomiernie większy niż przed paru laty. Nie wiem, nie potrafię tego ocenić, czy nie nastąpiły tu jakieś zmiany in plus czy in minus w okresie obecnego gabinetu. Nie zaprzeczam, że kredyt moralny udzielony temu gabinetowi na odcinku gospodarczym łączył się nie tylko z kilkoma popularnymi nazwiskami na liście gabinetu, lecz również z niepopularnością nazwisk, które z niej znikły. Znaczną rolę odegrał również łut szczęścia. Niepopularność tych, którzy odeszli, była wszak związana nie tylko z popełnionymi przez nich błędami, lecz również wynikała z obciążenia ich odpowiedzialnością za cudze winy, poprostu za fakt kryzysu, podczas gdy obecny Rząd startował w okresie zaczynającej się poprawy koniunkturalnej. Skoro jednak przyznajemy te wszystkie okoliczności, to przyznajmy również, że po pierwsze obecny Rząd w pierwszym okresie na przełomie lat 1935/36 wykazał wyjątkową energię w zrealizowaniu tych rzeczy, które leżały w programie poprzedniego, lecz przerosły jego odwagę czynu (obniżki cen kartelowych, taryf, uposażeń urzędniczych). Po drugie tak czy inaczej zdobyty kapitał względnego przynajmniej zaufania nie został rozproszony — przypuszczam, że eksperymentalny szary człowiek powiedziałby nam, że „oczywiście ten Rząd obiecuje więcej niż robi, ale zajmuje się nie tylko obiecywaniem".

Czy ta postawa zaufania dałaby się utrzymać przy kursie bardziej zdecydowanym, przy działaniach śmielszych, opartych o jednolitą, wyraźną koncepcję polityczno - gospodarczą? Mam obawy, że nie. I tu właśnie dochodzimy do sedna socjologicznego sprawy. Socjologicznego, bowiem naiwnością było by traktować kwestię kierunku polityki gospodarczej jako kwestię zupełnie dowolnego działania w płaszczyźnie wyłącznie gospodarczej. Program gospodarczy jest rezultatem procesów socjologicznych, tak samo, jak program społeczny czy program polityki „politycznej". Wyrasta on z gruntu rzeczywistości społecznej, a jakość gleby przecież decyduje o tem, że pewne rośliny nie mogą się na niej przyjąć, podczas gdy inne, mniej wymagające, mniej plenne i szlachetne, rozwijają się zupełnie pomyślnie.

Grunt społeczno - polityczny, na którym wyrosła obecna polityka gospodarcza, nie jest jak sądzę terenem, sprzyjającym rozwojowi śmiałej, tem bardziej ryzykanckiej czy nawet poprostu bardzo zdecydowanej i jednokierunkowej polityki gospodarczej. Politycznie szczególne trudności rodził oczywiście fakt, że oparciem Rządu bynajmniej nie były izby parlamentarne, które coprawda nie podjęły nigdy próby atakowania z frontu polityki gospodarczej, ale nie pominęły żadnej chyba okazji do wbijania noża w plecy. Rząd, mający przeciw sobie większość zapewne aspirantów do władzy z ulicy Wiejskiej, zdobywał jednak koniec końców większość dla każdego prawie posunięcia, dzięki oparciu się o szeroką opinię, o przychylną neutralność szarego człowieka, bez względu na jego przynależność polityczną, dzięki wygrywaniu przeróżnych okoliczności, zapewniających poparcie to tego, to innego odłamu, czy wreszcie dzięki apelom, trzeba przyznać nie zawodzącym, do elementarnego poczucia obywatelskiego ogółu (razem z panami z Wiejskiej). Już to jedno, pomijając okoliczności natury czysto gospodarczej, o których wspomnę dalej, sprawiało, że zupełnie inne były możliwości realizacyjne dla Rządu w zakresie posunięć, że się tak wyrażę elementarnych, nie zawierających w sobie elementów solidaryzowania się z tą lub inną doktryną na dalszą metę, inne zaś — inne w danym wypadku znaczy nikłe — dla posunięć bardziej skomplikowanych, związanych z planem na dłuższą metę, stanowiących wyraz określonej doktryny.

Nie łatwo w warunkach polskich o tę doktrynę. Toć jest rzeczą jasną przecież, że program gospodarczy Anglii czy Niemiec ma taki właśnie a nie inny kształt wcale nie dlatego, że w roku pańskim X-tym urodził się pan Chamberlain, a w wielkich Niemczech Adolf Hitler, że ci panowie pod wpływem odmiennego wychowania i wpływów środowiska, odmiennej dziedziczności, przynieśli przychodząc do władzy inny bagaż pojęciowy, skutkiem czego jeden z nich robił inflację, drugi dewaluację. Jeden autarkię, drugi itd. Proszę spróbować propagowania autarkii w kraju, który żyje z handlu, z floty, z odsetek od kredytów zagranicznych. Proszę spróbować propagandy rezygnacji z autarkii w kraju, który ma

nadmiar ludności, sprawności organizacyjnej, wiedzy technicznej, w stosunku do zasobów surowców. Kto ma opierać politykę gospodarczą o manipulowanie kursem pieniądza: ten kto ma rezerwy złota, czy ten kto ich nie ma? Kto ma prowadzić politykę inflacyjnych inwestycyj publicznych, nawet w okresie poprawy koniunkturalnej: ten kraj, który może sobie pozwolić na utrzymywanie strukturalnych bezrobotnych z dochodów, czerpanych z całego świata, czy ten kraj, który nie ma innego sposobu, jak rozłożyć pracę pomiędzy wszystkich obywateli, uzyskać wzrost zatrudnienia i uzbrojenia inwestycyjnego, chociażby kosztem obniżki stopy życiowej?

Truizmem jest, że Polska nie posiada jeszcze wyklarowanej struktury gospodarczej, że współistnieją u nas formy przed, wczesno i późnokapitalistyczne, że nasze tradycje polityczno - gospodarcze są ubogie, że proces zrastania się trzech zaborów gospodarczo nie jest jeszcze zakończony, że rozmieszczenie przemysłu nie odpowiada dzisiejszym warunkom, że sieć komunikacyjna i sieć podstawowych urządzeń gospodarczych jest niedorozwinięta, że zmysł gospodarczy społeczeństwa jest niewielki, a nerwowość wielka, że przeludnienie stawia nam dodatkowe zadania, a jednocześnie stwarza dodatkowe trudności w wykonaniu nawet skromniejszych zadań, że tak samo wpływa nasza sytuacja geo-polityczna, itp. itp. To są wszystko truizmy, ale właśnie dlatego łatwo zapomina się o wyciągnięciu z nich wniosków.

Jednym z tych wniosków jest to, że w Polsce istotnie trudno, a w każdym razie trudniej niż gdzieindziej, decydować się na śmiałe posunięcia, chociażby nawet polityka danego typu przeszła już gdzieindziej próbę ogniową. Np. kwestia dewaluacji, tak silnie, choć po cichu lansowanej przez wczorajszych entuzjastów deflacji. Nie zamierzam w ramach niniejszego artykułu analizować tej kwestii głębiej. Chcę tylko uprzytomnić, że cały szereg klasycznych argumentów, działających na rzecz dewaluacji, w Polsce nie wchodzi w grę. A więc nie można liczyć na to, ażeby po dewaluacji miała u nas nastąpić repatriacja kapitałów, ulokowanych za granicą, bowiem ucieczka ich bynajmniej nie wynikała z samych tylko obaw przed wahaniami kursu waluty. W kraju ubogim trudno stawiać także na masową detezauryzację, zwłaszcza po okresie pomyślnej koniunktury, która już sporą część kapitałów zdetezauryzowanych uruchomiła. Czy można liczyć, że dewaluacja zrównałaby nasze ceny ze światowemi? Przypuśćmy, że tak. ale oczywiście pod warunkiem, że płace nie poszłyby natychmiast w górę, pociągając za sobą również i budżety publiczne. Fali zwyżki płac może się oprzeć albo rząd, lekceważący nastroje społeczeństwa, albo też rząd, mogący uruchomić falę entuzjazmu i samozaparcia w imię lepszej wspólnej przyszłości. I jedno i drugie jest w Polsce trudne, jeśli nie niemożliwe. A silniejsze nakręcanie koniunktury, większa skala inwestycyj publicznych? Inwestowanie przez państwo z natury rzeczy kieruje kapitał głównie ku inwestycjom o rentowności pośredniej, społecznej, jeśli zaś obejmuje inwestycje typu produkcyjnego, to głównie większe przemysłowe obiekty, typu surowcowego przede wszystkim. O ile przy umiarkowanej skali inwestycyj publicznych nie jest już rzeczą łatwą utrzymanie dostatecznego dopływu kapitału dla drobnego przemysłu, rzemiosła, handlu i rolnictwa, o tyle przy wielkiej skali inwestycyj publicznych i kredytu publicznego uwiąd kredytu dla producentów i inwestorów prywatnych jest tylko kwestią wcześniejszego lub późniejszego czasu. Jaskrawym przykładem mogą tu być Niemcy hitlerowskie (nie Rosja Sowiecka, która tego chciała). Niemcy, które przez ostatnie zarządzenia oddłużeniowe właściwie zadecydowały o śmierci kredytu prywatnego i całkowitej stawce na kapitalizację publiczną. Otóż przykład Rosji wskazuje nam, jaką lekkomyślnością jest jednostronne skierowanie kapitalizacji do rąk czynnika publicznego wyłącznie, w kraju nie posiadającym jeszcze wykończonej aparatury produkcyjnej w zakresie drobnych warsztatów.

Ze względu na charakter niniejszego artykułu ograniczam się do tych dwu tylko przykładów, wskazujących, że nie tylko czynniki związane z sytuacją społeczno - polityczną kraju, lecz również elementy natury czysto gospodarczej związane z obecnym etapem rozwojowym i sytuacją gospodarstwa polskiego na tle gospodarki światowej stanowią potężne hamulce dla poprowadzenia u nas polityki jednokierunkowej, o wielkim rozmachu, polityki z jednej bryły. Oczywiście, nie wyklucza to bynajmniej możności postawienia bardzo nieraz poważnych i zapewne niejednokrotnie bardzo słusznych zarzutów w stosunku do polityki obecnej. Np. piszący te słowa sądzi, że zrobiliśmy zbyt mało w kierunku zbliżenia naszego poziomu cen do poziomu cen światowych i w kierunku likwidacji niektórych pozostałości z ostatniego kryzysu. żeśmy trochę zanadto liczyli na to, iż fala dobrej koniunktury przez swój poziom i trwałość sama skuteczniej i lepiej rozwiąże te dwa zagadnienia. Nie usiłuję tych zarzutów w tej chwili ani rozwijać, ani motywować. Muszę natomiast stwierdzić, że ilekroć słyszę czyjeś słuszne przekonywujące zarzuty, czy też ilekroć mnie samemu nasuwają się obiekcje, tylekroć przypominam sobie historyjkę, którą Oskar Wilde opowiada w swych wspomnieniach z podróży do Stanów Zjednoczonych. W jakiejś knajpie na dalekim Zachodzie właściciel, znający obyczaje swej cowboyskiej klienteli, zamieścił, jak pisze Wilde, tabliczkę, mającą na celu sprowadzenie pretensji do orkiestry do granic właściwych. Tabliczka ta brzmiała: „Nie strzelajcie do grajka, robi co może".

ANTONI TOM

POZIOM CEN A DEWALUACJA

Panuje powszechne przekonanie (i nawet sam tok argumentacji dotarł już do „człowieka ulicy"), że wyższy poziom cen wewnętrznych od zagranicznych stanowi dla kraju zjawisko bezwzględnie szkodliwe. Przez długi czas — od chwili, kiedy w początkach rozwoju ekonomii politycznej jako nauki, przezwyciężono teorie merkantylistów — obowiązywała również powszechna wiara w automatyczne wyrównanie poziomów cen rozmaitych krajów.

Po doświadczeniach lat ostatnich nawet najbardziej ortodoksyjny liberał nie będzie się zapewne już powoływał na efektowną zresztą argumentację zwolenników teorii bilansu handlowego. Błędem jej było przyjęcie implicite takich założeń, których związek z rzeczywistością stawał się coraz bardziej odległy, a zupełnie bliski nie mógł być nigdy. Przebieg procesów gospodarczych nigdy się nie odbywa na t. zw. doskonałym rynku. Tylko ta fikcja metodologiczna przewiduje natychmiastowe i bez żadnych przeszkód dopasowanie się wzajemne rozmaitych czynników, przez co równowaga zostaje szybko ustalona. Skoro zechciano tłumaczyć otaczającą nas rzeczywistość, wypadało porzucić tok rozumowania teorii bilansu handlowego i wiarę w automatyzm gospodarczy. Wobec tego pomyślano o rozmaitych sposobach sztucznego obniżenia poziomu cen.

Tym razem jednak popadnięto na ogół w drugą ostateczność. Bez dyskusji zostało przyjęte założenie, że obniżka poziomu cen jest *zawsze* pożyteczna. Tymczasem sprawa nie jest wcale tak prosta [1]). Jeśli kraj *A* przeprowadzi dewaluację np. o 20%, to niewątpliwie *ilościowo* eksport towarów z tego kraju wzrośnie. Ale to jeszcze wcale nie oznacza, aby kraj miał na tem cokolwiek zyskać — nawet w samej wymianie międzynarodowej. Wzrost ten bowiem musi być na tyle znaczny, żeby i *wartościowo* nastąpiła zmiana in plus. Otóż przy dewaluacji (mówiąc ogólnie: obniżce poziomu cen) o 20% wzrost ilościowy eksportu musi wynieść co najmniej 25%. Lub też: wzrost eksportu a spadek importu muszą wynieść — każde po ca 13%. W przeciwnym razie obniżenie poziomu cen krajowych przyniesie tylko stratę — wartość eksportu będzie mniejsza niż poprzednio.

Powstaje teraz pytanie, czy można bliżej określić warunki, w których obniżka poziomu cen staje się opłacalna. Wyżej podany przykład cyfrowy ilustruje znaczenie elastyczności popytu zagranicy na towary krajowe. Im jest ona większa, tem większy będzie wzrost eksportu, tem bardziej się opłaca obniżka cen krajowych.

Jak dotąd jest to jednak odpowiedź czysto formalna, nie mówiąca nic jeszcze o czynnikach, kształtujących rzeczywistość.

Z zestawienia tych dwu cyfr: 20% i 25% wynika, że elastyczność popytu zagranicy musi być większa od jedności. Innymi słowy: ilościowy wzrost eksportu musi być stosunkowo większy niż spadek wskaźnika cen dóbr eksportowych. Trzeba dodać — wynika to z prostego obliczenia arytmetycznego — że, im bardziej zostaje obniżony wskaźnik cen, tem bardziej (w sposób więcej niż proporcjonalny) musiałyby ilościowo rosnąć rozmiary eksportu. Używając sformułowania matematycznego powiem, że ilościowy wzrost wywozu musi być rosnącą funkcją obniżenia wskaźnika cen eksportowych.

Elastyczność popytu zagranicy na towary krajowe zależy od paru różnych czynników. Chodzi przede wszystkim o to, w jakim stopniu towary, wywożone z kraju *A* mogłyby zastąpić wszelkie inne towary, konsumowane przez kraje, prowadzące z nim wymianę. Może to zachodzić bądź dlatego, że wskutek obniżki cen stają się one tańsze od innych, bądź też wskutek zmniejszania się różnicy cen (jeszcze są droższe niż inne, ale już w coraz mniejszym stopniu). Jest przy tem w zasadzie obojętne, czy w ten sposób zdobywa się nowe rynki, czy poprostu zostaje powiększony zbyt na rynkach mniej lub więcej zajętych już od dawna. Pierwszemu przypisuje się zwykle zupełnie inne rozmiary ilościowe, a nawet kwalifikuje się w sposób całkiem odmienny, co zresztą leży całkowicie poza zakresem zagadnień, omawianych w tym artykule. Otóż ta elastyczność substytucji towarów z kraju *A* ma dwojaki aspekt: 1) substytucja za towary tego samego rodzaju i gatunku, ale pochodzące z innych źródeł niż kraj *A*; 2) zastąpienie tych dóbr przez wytwory „obiektywnie" inne. W ten sposób dokonywa się strukturalna zmiana popytu społeczeństw importujących. Zakres tych zmian może być bardzo znaczny. Np. wskutek obniżenia ceny eksportowej aut może znacznie zmaleć import wytworów wełnianych i bawełnianych. Takie przykłady można mnożyć w nieskończoność, a ustalanie jakichkolwiek zależności i ograniczeń — jeśli w ogóle ma sens — napewno nie jest zagadnieniem ekonomicznym. Sens ekonomiczny mają dopiero skutki zmian wyboru.

Istnieje inna jeszcze możliwość: obniżenie cen towarów, wywożonych z kraju *A* może powiększyć ich konsumcję zagraniczną nie kosztem jakiegoś innego dobra materialnego, lecz kosztem zmniejszenia, powiedzmy, oszczędności. Jest też prawdopodobne, że np. pewne kraje zaciągną pożyczki zagraniczne, aby móc powiększyć import — korzystając z dogodniejszych warunków. Kraj, starający się uprzemysłowić — o ile inne specjalne warunki nie stoją mu na przeszkodzie — w ten sposób właśnie może postąpić.

Nie jest wcale rzeczą obojętną, jaka jest struktura eksportu kraju *A*. Jeśli reprezentuje on typ „monotowarowy" lub „oligotowarowy", sytuacja jego jest specjalnie trudna. Przede wszystkim często taki kraj jest jedynym dostawcą danego towaru. A skoro nie ma on konkurentów, nie może też niczyim kosztem zyskać. Zarobić mógłby dopiero przy ilościowym

[1]) Por. pracę Władysława Zawadzkiego p. t.: „Manipulowanie pieniądzem jako narzędzie polityki gospodarczej".

wzroście popytu na to dobro kosztem innych zastosowań dochodu społecznego. Jest zaś znacznie mniej prawdopodobne, aby np. światowy import kawy wzrósł odrazu o 25%, niż aby wzrósł o parę procent import kilku zupełnie różnych towarów, co w sumie może dać bardzo nawet znaczny wzrost eksportu kraju *A*.

Nie można też liczyć na to, że znaczna obniżka cen np. zboża i innych artykułów spożywczych spowoduje silny wzrost ich nabycia. Stąd właśnie wynika niebezpieczeństwo t. zw. klęski urodzaju. Natomiast popyt na towary przemysłowe jest znacznie trudniej nasycalny, znacznie bardziej elastyczny. Istnieje mimo to pewien czynnik, powiększający elastyczność popytu na produkty rolne. Chodzi o to, że klientela jest do nich znacznie mniej „przywiązana" i łatwiej zdecyduje się na import np. pszenicy australijskiej zamiast argentyńskiej, niż będzie się to działo w analogicznych wypadkach — przy imporcie przemysłowym. Jest to zupełnie zrozumiałe, jako że import np. zbóż z określonego kraju stale pozostaje pod znakiem zapytania i jest zjawiskiem stosunkowo niestałym, skoro nigdy nie wiadomo, jak będzie się przedstawiała jego produkcja.

Jest następnie znacznie mniej prawdopodobne — stanowi to już niewątpliwy truizm — żeby import artykułów pierwszej potrzeby miał być choćby w części tak elastyczny jak się to dzieje z t. zw. konsumcją luksusową. Tu jednak (analogicznie jak przy zestawieniu: artykuły rolne i przemysłowe) znacznie większe znaczenie ma substytucja źródła nabycia towaru.

Wylicznie to nie jest — rzecz jasna — kompletne. Dodam tu jeszcze jeden czynnik: eksporterzy surowców mają znacznie większe możliwości niż sprzedawcy dóbr gotowych. Wiele surowców w ogóle nie podlega substytucji, a co najważniejsze import ich — zależnie od fazy cyklu koniunkturalnego — podlega dużym zmianom, jest bardzo elastyczny. Popyt na dobra konsumcyjne odznacza się znacznie mniejszą elastycznością. To oczywiste spostrzeżenie leży u podstaw wielu dawniejszych i współczesnych teorii koniunktury. Jeśli więc obniżka cen surowców nastąpi w momencie, kiedy zostaną już zlikwidowane przerosty z lat dawnej dobrej koniunktury, to bilans handlowy kraju ekporterskiego może raptem wykazać bardzo znaczne saldo dodatnie.

Wszystkie wyżej wymienione czynniki wpływają na stopień elastyczności popytu zagranicy na towary, pochodzące z kraju *A*. Nie wyczerpuje to jeszcze zagadnienia. Chodzi bowiem w równym stopniu o elastyczność wewnętrznego krajowego popytu na te towary. Tok rozumowania jest tu zupełnie analogiczny. Chodzi o to, w jakim stopniu obniżka rozmaitych cen (wyrażając się w sposób skrócony a nieścisły: wskaźnika ogólnego poziomu cen) wpłynie na wzrost samowystarczalności gospodarczej danego kraju. Przy obniżeniu poziomu cen o np. 20%, ilościowy wzrost popytu krajowego musiałby wynieść conajmniej 25%, jeśliby obniżka poziomu cen towarów miała być opłacalna mimo niezmienionego ilościowo eksportu. Cała poprzednia argumentacja znajduje po raz wtóry swoje pełne zastosowanie.

Jeśliby obniżka cen dotyczyła tylko pewnej grupy towarów, to — analogicznie do poprzedniego — chodzić będzie o odpowiednio większy ilościowy wzrost popytu na tę właśnie kategorię.

Powyższe uwagi opierały się na milczącym założeniu, że stopień skrępowania wymiany międzynarodowej pozostawał bez zmian przez cały czas, tj. przed obniżeniem poziomu cen towarów i po tym fakcie. Innymi słowy — w międzyczasie nie następuje ani rozwój ani regresja roli wymiany kompensacyjnej, kiedy to poziom cen przestaje odgrywać dominującą rolę.

To założenie w czasach obecnych nie odpowiada rzeczywistości. Stopniowe obniżanie poziomu cen (obojętne, jaką drogą) jest naturalnie charakterystycznym symptomem recesji koniunkturalnej. A rozwój form międzynarodowej wymiany kompensacyjnej nigdy nie występuje w formie równie jaskrawej jak właśnie wówczas. Trzeba więc przy analizie skutków obniżenia poziomu cen w danym kraju zawsze pamiętać, że — mimo spełnienia wyżej podanych warunków — wartościowy wzrost eksportu może w ogóle nie nastąpić wskutek porzucenia przez gospodarkę dotychczas mniej więcej obowiązujących zasad liberalizmu.

W ten sposób zostają określone skutki obniżki poziomu cen towarów zarówno dla koniunktury wewnętrznej jak i dla wymiany międzynarodowej. Urozmaicona produkcja („politowarowość"), posiadanie na eksport wytworów przemysłowych i to nie artykułów pierwszej potrzeby, wreszcie dysponowanie znacznemi możliwościami wywozu dóbr produkcyjnych (np. maszyny, a zwłaszcza surowce) — oto czynniki, powiększające korzyści z posiadania elastycznego poziomu cen towarów.

* *
*

Nie jest naturalnie obojętne, jaką drogą dokona się tej obniżki cen. Ta sprawa w niedawnych latach kryzysu nieraz była obszernie dyskutowana. Obawiam się jednak, że zbyt często argumentacja obracała się w sferze „pobożnych życzeń". Dylemat: dewaluacja [2]) czy deflacja przedstawiano zwykle w ten sposób, jak gdyby bez większych trudności oba te systemy polityki gospodarczej w krótkim czasie miały osiągnąć pełne efekty. Można pozornie mieć niejakie obiekcje, czy uzasadnione jest przeciwstawianie dewaluacji nie czego innego jak właśnie deflacji. Deflacja jest to przecież dokładne przeciwieństwo polityki inflacyjnej, co często zupełnie niesłusznie — na podstawie *możliwego*, a nie — koniecznego prawdopodobieństwa skutków — łączy się z pojęciem dewaluacji.

Chodzi jednak o to, że w polskiej publicystyce gospodarczej pojęcie polityki deflacyjnej ma pewien specjalny sens. Deflacja jest w zasadzie zmniejszeniem rozmiaru obiegu środków płatniczych w stosunku do obiegu towarowego. Politykę deflacyjną można

[2]) W całym artykule mówić będę o dewaluacji jako o środku ożywienia koniunktury, natomiast pomijam wszelkie zagadnienia, związane z dewaluacją dokonywaną pod przymusem skarbowym czy jakimkolwiek innym.

przy tem stosować równie dobrze (albo: równie źle) zarówno w czasie zwyżkowej fazy koniunktury, jak i wówczas, kiedy rozwija się kumulacyjny proces zniżkowy.

U nas polityka deflacyjna oznaczała zupełnie co innego. W sposób nieodparty kojarzy się ona z akcją obniżki cen kartelowych. Innymi słowy: chodzi o dokonanie obniżki różnych mniej lub więcej sztywnych cen *bez* jednoczesnej wyraźnie restrykcyjnej polityki kredytowo-pieniężnej. O tem zapewne myśli p. fr. k. [3]), który zresztą wypowiada się na temat rozmaitych możliwości obniżki cen w sposób tak niezwykle ogólnikowy, że nie sposób się domyśleć, co — poza „reformami czysto technicznemi i administracyjnemi" — może mieć na myśli. W dalszym ciągu mówiąc o stosowaniu polityki deflacyjnej — w przeciwstawieniu do dewaluacji — będę brał pod uwagę właśnie tego typu reformy.

Pierwsza specjalna właściwość dewaluacji polega na tem, że obniżka poziomu cen towarów musi być powszechna i — przynajmniej w pierwszym momencie — procentowo równa. Natomiast przy wszystkich pozostałych sposobach obniżki cen mogą nią być objęte tylko pewne kategorie dóbr lub też wprawdzie wszystkie, ale niejednocześnie, stopniowo i nierównomiernie. Jest to pierwsza zasadnicza różnica.

Dla uniknięcia ew. nieporozumień odrazu zaznaczę, że z tych rozważań eliminuję zagadnienie dumpingu. Jak wiadomo polega on — wyrażając się jak najogólniej — na zróżnicowaniu ceny różnych jednostek *tego samego* dobra na *rozmaitych* rynkach: krajowym i zagranicznym. Dlatego mówiąc o deflacyjnym obniżaniu cen poszczególnych towarów, będę to rozumiał w ten sposób, że cena *wszystkich* jednostek danego dobra lub danej grupy dóbr została obniżona w *takim samym* stopniu.

Z praktyki lat ostatnich dobrze wiadomo, jak przewlekłym procesem jest akcja obniżki cen. Nigdy nie można tego dokonać odrazu na wszystkich odcinkach. Gra interesów rozmaitych grup społecznych przeciąga całą tę sprawę na dłuższy okres czasu. Często czynnik ten w ogóle uniemożliwia dokonanie pożądanej zmiany. I jest z zasadniczego punktu widzenia całkowicie obojętne, czy są to związki zawodowe, nie dopuszczające do obniżki niektórych za wysokich płac, czy też potężny koncern, wszelkimi sposobami przeciwstawiający się obniżeniu cen swoich wytworów.

A więc jedna sprawa, to: *czy* w ogóle da się w ten sposób przeprowadzić odpowiednią obniżkę sztywnych cen? Druga polega na tem, że nie jest nigdy obojętne, *kiedy* to uelastycznienie rozmaitych nieelastycznych elementów będzie mogło być dokonane. Nie można operować rozumowaniem bezczasowym, jeśli cała ta argumentacja ma tłumaczyć rzeczywistość, a nie — być poprostu ćwiczeniem z logiki, gdzie wszelkie założenia nie zawierające wewnętrznej sprzeczności są możliwe i dopuszczalne.

Zarówno dewaluacja, jak i deflacja są takimi rodzajami polityki gospodarczej, które skutkują dopiero wówczas, kiedy w całości już zostaną ukończone. Tylko, że deflacja — w przeciwieństwie do dewaluacji — trwa bardzo długo. Obawiam się, że wielu zwolenników polityki deflacyjnej dotychczas pozostaje pod wrażeniem bezczasowego (wszelkie procesy gospodarcze przebiegają „in the unit of time") sposobu ujmowania zjawisk gospodarczych, co zapoczątkowali „klasycy" [4]), a co właściwie trwa po dziś dzień. Polityka „zaciskania pasa" jest zupełnie właściwym postępowaniem jednostki, która ma określony nieelastyczny dochód i duży balast długów. Ale rozumowanie za pomocą mechanicznie tworzonych analogii często zawodzi po prostu dlatego, że bierze się pod uwagę tylko powierzchowne podobieństwa. Dużo bardziej praktycznym rozwiązaniem może być zwiększenie nakładu pracy i tą drogą osiągnięcie wyższego dochodu zamiast wegetacji przy zaciskaniu pasa. Jednostka gospodarująca bardzo rzadko może wedle swojej woli pracować więcej lub mniej, często jest przymusowym bezrobotnym. Cały system gospodarczy też nie zawsze, ale w każdym razie dosyć często, może wpływać na wzrost zatrudnienia i przez to na wzrost dochodu społecznego. Nie jest tematem tego artykułu pełna analiza możliwości „nakręcania koniunktury". Wystarczy stwierdzenie, że tego rodzaju polityka w wielu wypadkach daje dobre wyniki. A to już wskazuje, że bierne wyczekiwanie odmiany losu niekoniecznie jest najbardziej właściwą metodą postępowania.

Powyżej przytoczona argumentacja przeciw polityce deflacyjnej sprowadza się więc do dwu punktów: 1) można uznać ją za słuszną tylko rozumując kategoriami bezczasowemi, 2) tarcia społeczne i presja wielkiego kapitału utrudnia, jeśli nie uniemożliwia, wykonanie planu deflacyjnego. Powoływanie się na przykłady z niedawnej przeszłości jest chyba co najmniej zbędne.

Ale trzeba wysunąć jeszcze jeden argument. Abstrahując od roli, jaką odegra presja sfer przemysłowych i związków robotniczych, trzeba jeszcze pamiętać o tem, że nawet państwo socjalnie „neutralne" też będzie miało na tej drodze niezwykłe trudności. Rozmaite elementy gospodarcze pozostają ze sobą w mniej lub więcej ścisłym związku. Nie można np. osiągnąć znacznej obniżki ceny maszyn rolniczych, jeśli jednocześnie utrzymuje się na wysokim poziomie cenę żelaza. A jej z kolei nie można uelastycznić, jeśli państwo prowadzi politykę dozbrojenia. Wówczas choćby nawet popyt na żelazo sam przez się utrzymywał cenę na nieco niższym poziomie, państwo będzie musiało ją podciągnąć, skoro w przeciwnym razie zmniejszą się rozmiary jego produkcji. A wiadomo, że najpewniejszym środkiem stworzenia gospodarczego pogotowia mobilizacyjnego jest stałe posiadanie nadmiernie rozbudowanego aparatu wytwórczego w odpowiednich dziedzinach produkcji.

*

* *

Żaden bodaj, najbardziej nawet entuzjastyczny zwolennik polityki deflacyjnej nie będzie chyba

[3]) fr. k.: „O jasną postawę" — „Gospodarka Narodowa" Nr 16/1938.

[4]) Trzeba do nich pod tym względem zaliczyć — co brzmi paradoksalnie — nawet ostatnia pracę J. M. Keynesa: „The General Theory of Employment, Interest and Money".

twierdził, że *od razu* powoduje ona ożywienie gospodarcze. Jej sens polega tylko na przygotowaniu takich warunków, które — zdaniem deflacjonistów — same przez się zainicjują zwyżkową fazę koniunktury. Za pierwsze stadium uważa się osiągnięcie równowagi — na niższym poziomie tj. przy mniejszym zatrudnieniu i dochodzie społecznym.

Dewaluacja — w zasadzie — posiada te „ożywcze" właściwości. Argumentacja jej przeciwników biegnie więc po innej zupełnie linii. Zwraca się mianowicie uwagę na towarzyszące temu skutki ujemne, które — ich zdaniem — całkowicie przeważają szalę możliwych korzyści.

Skutki dewaluacji dla wymiany międzynarodowej są dość jasne i od razu widoczne. W zasadzie niczem się one nie różnią od innych sposobów obniżenia poziomu cen. Chodzi jednak o to, że zmiana drogą dewaluacji jest szybka i powszechna, a przez to stosunkowo łatwo wykonać ją można w całości w takim momencie, który z rozmaitych względów będzie uznany za najbardziej korzystny. Wracamy w ten sposób do zagadnienia poprzednio omówionego: co wpływa na wzrost elastyczności popytu zagranicznego i krajowego na towary danego kraju.

Jednocześnie na rynku wewnętrznym dzieje się jeszcze coś innego. Obniżenie wszelkich cen i kosztów powoduje wzrost płynności, jeśli jednocześnie nie prowadzi się restrykcyjnej polityki kredytowo-pieniężnej. Otóż ta dość oryginalna, stworzona przez życie (u nas obowiązująca) definicja polityki deflacyjnej — jak już pisałem wyżej — nie przewiduje właściwie drenowania rynku pieniężnego. Drenaż ten motywuje się zwykle potrzebą dopasowania do obniżonych cen towarów m. in. surowców i innych dóbr produkcyjnych. Następuje równanie w dół, dno kryzysu coraz się oddala. Gospodarka przeżywa długi okres recesji.

Jeśli nie ma restrykcji kredytowych, powinna — przynajmniej w zasadzie — powiększyć się płynność. Skoro jednak, jak z praktyki wiadomo, najbardziej sztywnym elementem są zwykle ceny surowców i płace robocze, nie ma powodu, aby koszty produkcji miały się zmniejszyć. W tych warunkach brak jakiegokolwiek bezpośredniego bodźca do ożywienia koniunkturalnego. Płynność w sensie możliwości finansowania działalności produkcyjnej i handlowej jest pojęciem względnym. Oznaczając stosunek do kosztów produkcji, pozostaje ona bez zmian wobec istnienia sztywnych kosztów.

Powstaje teraz pytanie — i to jest sprawa najistotniejsza — jak długi okres ożywienia może zainicjować dewaluacja. Szybki wzrost cen towarów i płac przy jednoczesnym podniesieniu stopy procentowej obniża do zera widoki rentowności a jednocześnie likwiduje korzyści, płynące z wymiany międzynarodowej, tj. kończy się okres dumpingu walutowego.

Trudno naturalnie dać tu jakąkolwiek odpowiedź, obowiązującą bezwzględnie we wszelkich warunkach. Tylko z pewnym przybliżeniem można oceniać szanse powodzenia jakiejkolwiek działalności praktycznej, opartej na tak nieobliczalnym elemencie jak gromada ludzka. Cały czas nie biorę pod uwagę warunków państwa totalnego, gdzie trudności byłyby znacznie mniejsze.

W każdym razie wolno przypuszczać, że — przy każdej presji społecznej — dużo łatwiej jest *nie dopuścić do podniesienia* cen i płac już obniżonych, niż *przeforsować ich obniżkę*. A tem samem są większe możliwości, że warunki mniej więcej rentownej produkcji zostaną przez dłuższy czas utrzymane. Tylko przy bardzo silnej pozycji rolnictwa (a to jest ostatnio zjawisko dosyć niezwykłe), istnieje duże prawdopodobieństwo wzrostu kosztów utrzymania, co zwykle rozpoczyna proces zwyżkowy cen. Drugim drażliwym punktem jest rynek surowców, które zwłaszcza wówczas będą zwyżkowały, jeśli znaczna ich część zostaje sprowadzana po nieobniżonych cenach z zagranicy. Stąd wniosek, że kraj o znacznym imporcie surowcowym będzie miał duże trudności z zachowaniem koniunktury dewaluacyjnej, jeśli ceny zagraniczne są wysokie w zestawieniu z krajowemi.

W społeczeństwie „nerwowym" skutkiem deprecjacji waluty jest zawsze znaczne wycofywanie oszczędności. Zwykle się to uważa za największą wadę polityki niestałego pieniądza. Sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana. Gwałtowna likwidacja wkładów oszczędnościowych i wierzytelności prywatnych powoduje — w myśl tej argumentacji — zwyżkę stopy dyskontowej banków oraz stopy od pożyczek prywatnych. Wzrost ceny kredytu oznacza wzrost ogólnych kosztów produkcji czyli obniża rentowność przedsiębiorstw. Tak się zwykle rozumuje. Nie jest to jednak całkiem słuszne. Trzeba pamiętać, że finansowanie inwestycji stosunkowo rzadko odbywa się z oszczędności „ciułaczy". Zwykle decydujące są tu wkłady większych kapitalistów, którzy na ogół lepiej się orientują w sytuacji, a wskutek tego wycofują swoje wierzytelności raczej *w przewidywaniu* dewaluacji niż po jej ukończeniu. Wskutek tego można by przypuszczać, że dewaluacja sprowadzi raczej potanienie kosztów kredytu, skoro jest prawdopodobne, że w międzyczasie część oszczędności wróci do dyspozycji banków.

Jest to dopiero jedna strona bilansu. Detezauryzacja szerokich mas powoduje, wskutek utraty zaufania do pieniądza, znaczny wzrost zakupów dóbr rzeczowych. Jasne jest, że nie każdego stać na to, aby mógł nabyć nieruchomości. Zresztą — wobec dosyć permanentnego kryzysu rolnego — wątpliwe jest, czy zakup ziemi okazałby się specjalnie atrakcyjny. Dlatego niewątpliwie muszą w tym czasie wzrosnąć zakupy wszelkich dóbr, zwłaszcza trwałych. Nowa siła nabywcza płynie z dwu źródeł [5]): 1) likwidacja oszczędności, złożonych w bankach, P. K. O. itp., 2) detezauryzacja.

W tych warunkach ceny towarów idą w górę, co skłania do wzrostu produkcji. Przez to rośnie zatrudnienie, a stąd suma wypłat dla robotników (poziom płac może się nie zmienić). Z kolei powoduje to dalszy wzrost popytu na towary, dalszy wzrost produkcji itd. Nie ma naturalnie powodu przypuszczać, aby cały ten zwyżkowy proces kumulacyjny przebiegał bez żadnych trudności. Jest to już sprawa zupełnie inna. Chodziło tylko o przytoczenie ar-

[5]) Niezależnie od tego trzeba pamiętać, że wzrost konsumcji wynika również ze wzrostu wartości eksportu.

gumentacji, która by uprawdopodobniła tezę, że dewaluacja w krótkim czasie może wywołać ożywienie koniunkturalne.

Wracając do zagadnień wymiany międzynarodowej trzeba dodać — w świetle ostatniej analizy — jedną jeszcze uwagę. Zwyżkowa faza koniunktury ma stosunkowo szybko wszelkie dane na to, aby się zamienić w „koniunkturę cen", a wówczas — rzecz jasna — dumping walutowy ustaje. Okres przejściowy jest tem krótszy, im pełniejsze — w fazie początkowej — jest zatrudnienie czynników produkcji (m. in. robotników) tj. im mniejsze ciążą na rynku zapasy dóbr produkcyjnych oraz im mniejsze panuje bezrobocie.

Przed wypowiedzeniem ostatecznych konkluzji na temat wartości polityki dewaluacyjnej rozpatrzę jeden jeszcze argument jej przeciwników. Jedna z tez artykułu p. fr. k. sprowadza się do twierdzenia, że skoro na świecie nie ma stabilizacji walutowej, to nie wiadomo, do jakiego poziomu należało by równać. Jest to wyraźne nieporozumienie. Tylko mocarstwa gospodarcze są w możności przeprowadzić mniej lub więcej powszechne alignement. W latach ostatnich zresztą staje się coraz bardziej wątpliwe, czy w istocie nawet one mogą to zrobić.

Dewaluacja pozostałych krajów ma — już z samego założenia — zupełnie inny cel. Wielkie mocarstwa ją przeprowadzają naturalnie we własnym interesie, ale przy okazji — również pro publico bono. Inne państwa — poprostu z samej konieczności — mogą działać tylko we własnym interesie. Chodzi zwykle o *przejściowe* korzyści w postaci dumpingu walutowego i *bardziej trwałe*, w sensie ogólnego ożywienia gospodarczego. Kwestia, czy można *stricte* wyrównać, czy też pozostanie jeszcze pewne odchylenie od zagranicznego poziomu cen, jest najzupełniej obojętna. Pewnie, że jeden z elementów pojęcia *stałej* gospodarczej równowagi międzynarodowej stanowi również i wyrównanie siły nabywczej wszystkich walut. Tylko, że problem osiągnięcia równowagi w skali światowej już od pewnego czasu przestał odgrywać jakąkolwiek rolę. Dlatego też — dziś bardziej niż kiedyindziej — zagadnienie dewaluacji sprowadza się wyłącznie do porównania strat i korzyści *danego kraju.*

* * *

Nie jest sprawą obojętną, *kiedy* mianowicie zostanie dokonana dewaluacja. W czasie „ożywienia", gdy na rynku istnieje wystarczająca (a często nadmierna) płynność, jest ona nie tylko zbędna, ale nawet szkodliwa. Powoduje skutki inflacyjne, ponieważ łatwość uzyskania kredytu rozwija się bardziej niż powiększają się rozmiary produkcji. Przez to powstają inwestycje submarginalne tj. takie, których rentowność od początku pozostaje pod znakiem zapytania i które zostają uruchomione tylko wskutek nadmiernej płynności rynku kredytowo - pieniężnego.

Zupełnie odmienny przebieg zjawisk wywoła dewaluacja we wczesnej fazie recesji. Nie wdając się w bardziej szczegółową analizę całokształtu procesów gospodarczych, można stwierdzić, że na ogół bezpośrednią przyczyną załamania koniunkturalnego jest brak odpowiedniej ilości wystarczająco tanich dóbr wytwórczych. Przez to nie można kontynuować akcji inwestycyjnej, silnie rozbudowanej w czasie „ożywienia". Dalszym skutkiem jest spadek zatrudnienia, co wywołuje spadek popytu na dobra konsumcyjne, których przez to okazuje się za dużo. Ich względny nadmiar wynika jeszcze i stąd, że uprzedni wzrost dochodów szerokich mas powoduje więcej niż proporcjonalne powiększenie rozmiarów oszczędności pieniężnych. W tych warunkach duże korzyści spowoduje zastosowanie takiego środka, który poprawi stosunek spodziewanych przychodów do kosztów nie drogą powiększenia, i tak nadmiernie „rozdętego", obiegu środków płatniczych, lecz poprzez redukcję kosztów.

Ceny zagraniczne w tym czasie pozostają jeszcze wysokie, co zwiększa możliwości i rozmiary dumpingu walutowego. Doświadczenie ostatniego kryzysu wykazało dostatecznie wyraźnie, w jak korzystnej sytuacji znalazły się kraje, które od razu zdobyły się na eksperyment dewaluacyjny. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy było właśnie istnienie znacznej marży dewaluacyjnej w stosunku do zagranicy. Druga — polegała na tem, że system gospodarczy nie przeszedł dzięki temu przez okres długiego i mozolnego „szukania równowagi na niższym poziomie" z rosnącym bezrobociem i malejącymi do minimum rozmiarami inwestycji.

* * *

Trudno jest stosować dewaluację w kraju, którego polityka gospodarcza oparta jest na propagandzie oszczędnościowej. Ale jeśli czynne wyznawanie tej doktryny — poprzez spadek efektywnego popytu za towary — uniemożliwia znaczniejszy rozwój inwestycji, to w pewnych sytuacjach należało by się zastanowić, czy nie lepiej zmienić kierunek propagandy.

Nie zalecam dewaluacji jako uniwersalnego panaceum. Sens pierwszej części artykułu sprowadzał się przecież do określenia warunków, kiedy *warto* obniżać ceny. Chodzi tylko o to, że jeśli już warto, nie należy tego robić w sposób, który jeszcze nigdy nie dał w praktyce rezultatów choćby zadawalających i którego teoretyczne podstawy opierają się na niedopuszczalnych uproszczeniach.

UWAGI

SPRAWOZDANIE „NA URZĄD"

Sprawozdanie Unii Polskiego Przemysłu Górniczo-Hutniczego za rok 1937 ukazało się dopiero przed kilkoma dniami, jest więc w stosunku do roku sprawozdawczego mocno spóźnione. Mimo to należy się mu trochę uwagi, jako że w przemyśle węglowym (bo on to, a nie hutnictwo, jest właściwym „bohaterem" sprawozdania) zmiany nie przychodzą z dnia na dzień, ani z miesiąca na miesiąc.

Pozostawiając na uboczu cały kompleks spraw, związanych z eksportem, wydobyciem i płacami, chcę kilka słów poświęcić zagadnieniu zbytu wewnętrznego. Naturalnie, jak zawsze, sprawozdawcy prześlizgują się nad kwestią cen węgla i jedynie str. 89 przynosi uszczypliwe uwagi pod adresem rządu, który upiera się przy „najniższych(?) cenach kryzysowych", obowiązujących od r. 1935. Sprawozdawcy podnoszą, że rząd jest niewzruszony i nie wyraża skłonności „do zmiany stosowanej w odniesieniu do przemysłów skartelizowanych polityki cen i do wyrażenia zgody na jakąkolwiek podwyżkę cen węgla". Dzięki temu — konkludują urzędnicy Unii — koniunktura eksportowa nie doznała poparcia od strony rynku wewnętrznego i „ogólny efekt niewątpliwej w 1937 r. poprawy, wyrażony w cyfrach wyników finansowych, nie musiał być nazbyt wielki" (tamże).

Czyż można jednak poważnie liczyć na wzrost obrotów polskiego przemysłu węglowego, skoro się zna przyczyny, powodujące szczupłość zbytu węgla na rynku wewnętrznym? Gdyby ten zbyt miał istotnie szerokie możliwości, nie powołano by do życia spółki „Paliwo", mającej na celu zdobycie dla węgla odbiorców na wsi w Polsce „B". Ze sprawozdania nigdzie nie wynika, jak pracuje „Paliwo", z jakim rezultatem, no i z jakimi kapitałami. Nie podano również, że spółka ta powstała z inicjatywy rządu i że ulokowała dość znaczne ilości węgla. Z lektury sprawozdania nie trudno odnieść wrażenie, iż sprawa „Paliwa" ma dla Unii znaczenie drugoplanowe, jak gdyby zbyt węgla dla celów opałowych nikogo z pp. przemysłowców nie interesował. Czy w tych warunkach można się dziwić, że zarówno opinia publiczna, jak i rząd nie mogą się zgodzić na podwyżkę cen węgla. Bo ta ostatnia zahamowałaby rozwój „Paliwa" i w ogóle zbytu węgla na wsi. Jeżeli zaś przemysłowi węglowemu nie zależy na rozwoju „Paliwa", to widocznie koniunktura dla węgla w kraju jest dobra, nie ma więc potrzeby wzmacniać sztucznie tę koniunkturę poprzez zwyżkę cen węgla.

Sam przemysł węglowy zdaje się nie doceniać sytuacji, w jakiej pracuje, i perspektyw dalszego rozwoju. Sprawozdawcy na str. 35 podkreślają nie bez radości, że „wskaźnik całego zbytu węgla dla przemysłu odpowiada niemal zupełnie ściśle ogólnemu wskaźnikowi produkcji" (86,7 pkt. wobec 85,1). Sęk w tem, że poprawiony wskaźnik produkcji jest daleko wyższy od dawnego, którym posługuje się Unia, a zatem mamy do czynienia ze zjawiskiem regresji, a nie postępu lub równowagi. Czytając sprawozdanie na str. 32, widzi się, że w r. 1937 w porównaniu z r. 1929 wzrost spożycia węgla wykazały zaledwie trzy przemysły: koksowy (o 15%), mineralny (o 2%) i papierniczy (o 27%), w sumie jednak przemysł zużył węgla o 17% mniej; odliczając przemysł rolny, ponieważ podano go łącznie z rolnictwem, otrzymamy spadek zużycia węgla o 14%.

Czy liczby te nic nie dają do myślenia? Przecież spadek zużycia węgla przez rozwijający się przemysł dowodzi zmian strukturalnych, nie koniunkturalnych. Przemysł przechodzi stopniowo na prąd elektryczny, przemysł obraca węglem oszczędniej — stąd zmniejszenie się konsumcji węgla. A może węgiel jest dla przemysłu za drogi? Pp. sprawozdawcy twierdzą, że za tani, ich liczby jednak mówią co innego.

Jeżeli tak jest, jak mówią liczby, to chyba przemysł pracuje nad usunięciem przyczyn zła, np. nad upłynnieniem węgla. Głucho o tem w sprawozdaniu. Jest ono jeszcze jedną robotą „na urząd", robotą biurokratyczną, sporządzoną według wieloletniego schematu i niedopasowaną do zmian, jakie życie niesie. I ona też nie przyczynia się do wzrostu zaufania wobec t. zw. baronów węglowych. Ale to już ich, nie nasza wina.

b.r.

W SPRAWIE OPROCENTOWANIA FUNDUSZU AMORTYZACYJNEGO

W Nr 13 — 14 „Gospodarki Narodowej" ukazał się artykuł p. H. Greniewskiego na temat amortyzacji. Artykuł ten zawiera szereg interesujących uwag o znaczeniu amortyzacji dla polityki gospodarczej. Poza temi uwagami natury ogólnej Autor omawia metodę amortyzacji „z oprocentowaniem funduszu amortyzacyjnego", wspominając, że metoda ta budzi *„pewne zastrzeżenia ze strony niektórych aktuariuszy"*. Ponieważ wydaje mi się, że wspomniana różnica zdań jest w dużym stopniu wynikiem nieporozumienia, pragnę skreślić poniżej parę uwag natury wyjaśniającej. W rozważaniach swoich przyjmuję wszystkie definicje i założenia ustalone przez p. Greniewskiego.

Pierwsza moja uwaga dotyczy zdania Autora, że *„nic nie stoi na przeszkodzie, aby fundusz amortyzacyjny... był oprocentowany tj. przynosił dochód netto zasilający tenże fundusz"*. Stwierdzam, że w rozważanych zwykle wypadkach fundusz amortyzacyjny zawsze procentuje, również przy zwykłej metodzie amortyzacji. Jednakże przy tej ostatniej metodzie oprocentowanie funduszu amortyzacyjnego nie zasila tego funduszu, lecz zostaje zużyte na inne cele. Nieporozumienie wynika zatem stąd, że się przeciwstawia zwykłej amortyzacji amortyzację „z oprocentowaniem funduszu amortyzacyjnego", jak gdyby zwykła amortyzacja pociągała za sobą konieczność rezygnacji z oprocentowania funduszu amortyzacyjnego. W gruncie rzeczy chodzi o to, czy *zasilać czy nie zasilać* funduszu amortyzacyjnego oprocentowaniem, osiąganym z tego funduszu. Otóż trzeba przy-

znać, że istotnie nic nie stoi na przeszkodzie zasilaniu funduszu amortyzacyjnego oprocentowaniem. Jeżeli jednak zwykle nie postępuje się w ten sposób, to wynika to stąd, że rozważa się urządzenie inwestycyjne, będące częścią jakiejś obszerniejszej dziedziny gospodarowania i oprocentowanie funduszu amortyzacyjnego zasila inne części tej dziedziny.

Z powyższego wynika, że obie metody amortyzacji są poprawne. Jednakże p. Greniewski wypowiada w artykule swoim zdanie, że *„sposób amortyzowania odbija się na wynikach obliczenia rentowności"* a w innym miejscu oblicza swoją metodą odpis amortyzacyjny w wysokości 0,676 i przeciwstawia: *„pomimo, że w myśl tradycyjnej zasady nie oprocentowania tego funduszu odpis musiałby wynosić aż 0,811"*. Czytelnik mógłby stąd wysnuć błędny wniosek, chociaż Autor tego explicite nie twierdzi, że metoda amortyzacji „z oprocentowaniem" prowadzi do wyższej rentowności tej samej inwestycji niż metoda „bez oprocentowania". Nieporozumienie polega na tem, że do porównania wzięty został przypadek amortyzacji „bez oprocentowania" sprzeczny z przyjętym przez p. Greniewskiego założeniem II, które brzmi: „Dochód właściwy z dowolnego urządzenia inwestycyjnego jest stały przez cały okres aktywności tego urządzenia (w tekście artykułu jest błąd drukarski, opuszczono wyraz „stały"). Na jednym z posiedzeń dyskusyjnych Polskiego Instytutu Aktuariuszy p. Zb. Łomnicki udowodnił m. inn., że stałość dochodu właściwego nie da się pogodzić z liniowym zmniejszaniem się wartości netto inwestycji, jak to ma miejsce w przytoczonym przez Autora przypadku metody amortyzacji „bez oprocentowania". Natomiast konsekwencją założenia II jest inny przypadek tej metody amortyzacji, mianowicie przypadek, który się stosuje zawsze np. przy amortyzacji pożyczek stałemi ratami (stały dochód właściwy). Do przykładu liczbowego podanego w artykule p. Greniewskiego plan amortyzacyjny bez oprocentowania funduszu amortyzacyjnego będzie następujący:

Ubiegły okres aktywności urządzenia	Wartość netto urządzenia	Dochód netto	Odpis amortyzacyjny
(1)	(2)	(3)	(4)
0	8,11	0,32	0,68
1	7,43	0,30	0,70
2	6,73	0,27	0,73
3	6,00	0,24	0,76
4	5,24	0,21	0,79
5	4,45	0,18	0,82
6	3,63	0,15	0,85
7	2,78	0,11	0,89
8	1,89	0,07	0,93
9	0,96	0,04	0,96
10	0,00	—	—
		razem	8,11

Punktem wyjścia budowy powyższego planu amortyzacyjnego jest początkowa wartość urządzenia 8,11, taka sama jak w przykładzie p. Greniewskiego. W kol. (3) figurują liczby będące wartością 4% odpowiednich liczb kol. (2). Liczby kol. (4) otrzymane zostały jako różnice między stałym dochodem właściwym w wysokości 1 a dochodem netto z kol. (3). Wartości netto urządzenia w późniejszych latach, podane w kol. (2), uzyskane zostały przez kolejne odejmowanie od wartości netto poprzedniego roku odpisów amortyzacyjnych z kol. (4). Przez zsumowanie zwykłe (bez oprocentowania) odpisów amortyzacyjnych z kol. (4) otrzymujemy początkową wartość netto urządzenia 8,11; mamy tu zatem do czynienia istotnie z metodą amortyzacji „bez oprocentowania".

Zauważmy odrazu, że uzyskane przez nas w podanym planie amortyzacyjnym wartości netto urządzenia pokrywają się z wartościami netto obliczonemi przez p. Greniewskiego metodą amortyzacji „z oprocentowaniem". Najistotniejsza jednak dla naszych rozważań będzie wysokość rentowności związana z podanym przez nas planem amortyzacyjnym. Przy metodzie amortyzacji „z oprocentowaniem" oblicza p. Greniewski dochód netto od jednostki tj. rentowność jako stosunek dochodu netto 0,324 do wartości początkowej urządzenia 8,11 $: \frac{0,324}{8,11} = 4\%$. Natomiast przy metodzie amortyzacji „bez oprocentowania" dochód netto jest dochodem tylko niezamortyzowanej inwestycji tj. wartości netto urządzenia, gdyż odrzucamy co roku odpis amortyzacyjny, nie interesując się jego oprocentowaniem; rentowność zatem równa jest stosunkowi dochodu netto do wartości netto urządzenia w dowolnym roku. Np. po 5 latach otrzymam, $\frac{0,18}{4,45} = 4\%$ i to samo będzie w każdym innym roku. Podany plan amortyzacyjny prowadzi nas do *tej samej rentowności*, co metoda „z oprocentowaniem funduszu amortyzacyjnego".

Stwierdzamy zatem, że obie metody amortyzacji nie różnią się w sposób istotny od siebie, gdyż prowadzą do tej samej rentowności urządzenia inwestycyjnego, jak również do tej samej wartości netto urządzenia w każdym roku, o czem była mowa wyżej. Łatwo również sprawdzić, że prowadzą one do tych samych funduszów amortyzacyjnych w każdym roku. Różnica między obydwiema metodami jest to właściwie tylko różnica *metod rachunkowych*. Niemniej trzeba przyznać, że metoda amortyzacji z zasilaniem funduszu amortyzacyjnego własnym oprocentowaniem może być czasami rachunkowo dogodniejsza; np. z tego względu, że prowadzi do stałego odpisu amortyzacyjnego zamiast odpisów zmiennych.

Przestrzec jednakże należy przed poważnym niebezpieczeństwem, które jest związane ze stosowaniem propagowanej przez p. Greniewskiego metody. Zauważmy bowiem, że w rozważanym przykładzie liczbowym oprocentowanie funduszu amortyzacyjnego zostało przyjęte w tej samej wysokości, co rentowność inwestycji, i dzięki temu dochodzi się w rezultacie do wyników rachunkowych zgodnych z naszym planem amortyzacyjnym. Wystarczy jednak przyjąć oprocentowanie funduszu amortyzacyjnego wyższe od 4%; wtedy odpis amortyzacyjny będzie niższy od

0,676 i otrzymamy w rezultacie rentowność wyższą od 4%. Wynika to stąd, że uzyskana metodą amortyzacji „z oprocentowaniem” rentowność jest właściwie nie rentownością samego urządzenia inwestycyjnego, lecz *średnią rentownością układu*, składającego się z tego urządzenia i z funduszu amortyzacyjnego. Nie zdając sobie sprawy z tego faktu możemy łatwo dojść do *pozornego podwyższenia* rentowności inwestycji.

Na zakończenie pragnę wrócić do cytowanego już zdania p. Greniewskiego, że *„sposób amortyzowania odbija się na wynikach obliczenia rentowności”*. Wydaje mi się, że wykazałem, iż zasilanie czy nie zasilanie funduszu amortyzacyjnego własnym oprocentowaniem nie może wpłynąć na wynik obliczenia rentowności. Natomiast istotnie będzie miała wpływ na rentowność zmiana założeń, przyjętych na początku rozważań (w szczególności zmiana założenia II). Tutaj tkwi istotny i trudny problem zagadnienia amortyzacji: jakie założenia najlepiej odpowiadające rzeczywistości należy przyjąć przy danym urządzeniu inwestycyjnym. Jednakże ten temat wykracza już poza ramy niniejszych uwag.

Mieczysław Presburger.

LIBERALIZM HOMEOPATYCZNY

Ukazała się ostatnio nowa książka prof. F. Zweiga: „Zmierzch czy odrodzenie liberalizmu”.

Okazuje się, że prof. Zweig jest zwolennikiem homeopatii liberalnej. Na str. 263 czytamy:

„Nie ma czegoś takiego, jak liberalizm integralny. Nigdy go nie było i nigdy nie będzie”. A dalej: „Należy z liberalizmu stosować tyle, ile się da i tak długo, jak się da”. (str. 265). „Liberalizm stosować można nie tylko w postaci stuprocentowego, integralnego liberalizmu, ale i w postaci bardziej rozcieńczonej. Liberalizm można dawkować. Można rozpocząć liberalizm od dawek bardziej umiarkowanych, kilkunasto — czy kilkudziesięcioprocentowego rozczynu...” (str. 283).

Homeopatyczne dawki liberalizmu nie wystarczą dla wypełnienia całego systemu polityki gospodarczej. Więc autor proponuje interwencjonizm „liberalny”. Jest to „liberalizm aktywny, domagający się interwencjonizmu państwa na szerokiej płaszczyźnie, ale interwencjonizmu należycie zorientowanego...”.

W pierwszym rzędzie chodzi o regulowanie ram i norm konkurencji, o jej uporządkowanie przez stawianie pewnych wymogów społecznych, kulturalnych, czy etycznych.

Reglamentacja i etatyzm, w oświetleniu prof. Zweiga utraciły charakter grzechu pierworodnego czy też śmiertelnego. Została im wyznaczona bardzo obszerna domena:

1) działy, z natury nierentowne lub takie, które straciły rentowność, 2) wielkie przedsiębiorstwa, których inicjatywa prywatna w danych warunkach czasu i miejsca nie może się podjąć, 3) działania, których okres produkcji wzgl. rentowności jest tak długi, że nie nadaje się dla współzawodnictwa, 4) działania, które nie mogą się rentować przy zasadzie konkurencji, a które muszą być oparte na monopolu (kolej, gazownia, port itp.) oraz 5) działania, które mogą być prowadzone tylko centralnie dla całego państwa z jednego punktu, albo działania, których wpływ na całe życie gospodarcze i państwowe jest szczególnie wielki.

Bardzo charakterystyczny jest pierwszy punkt tego przydziału „sfery działalności publicznej” na tle tak popularnego krzyku o nierentowności przedsiębiorstw zetatyzowanych.

Zakres interwencjonizmu powinien być nie mniej szeroki i obejmować: ustawodawstwo społeczne, planową gospodarkę pieniężną, reformę rolną, politykę koniunkturalną (należyte rozłożenie inwestycyj publicznych, odpowiednia polityka kredytowo - pieniężna itp.).

Warto specjalną uwagę zwrócić na niektóre kwestie szczegółowe, poruszone w omawianej pracy.

Analizując tendencje autarkizacyjne, wynikające z konieczności militarnych, autor wysuwa argument, że gromadzenie rezerw na wypadek wojny jest tańsze niż rozbudowa odpowiednich gałęzi produkcji. W tej argumentacji tkwi gruby błąd. „Tańsze” w danym wypadku nie pokrywa się z „celowym”. Celowość zbyt wielkich zapasów sprzętu i materiałów wojennych jest problematyczna z uwagi na szybkie postępy techniki wojennej. Zapasy te ulegają nie dającej się przewidzieć „amortyzacji” na skutek nowych wynalazków i zmian w technice wojennej. Posiadanie odpowiedniego aparatu produkcyjnego umożliwia szybkie przestawienie produkcji na nowe typy sprzętu i materiałów wojennych.

Skuteczność rezerw gotówkowych jest również pod znakiem zapytania. Dostatecznie zabezpieczone wybrzeże morskie wcale jeszcze nie decyduje o swobodzie dowozu w czasie wojny (wojna podwodna!). Posiadanie zaś chociażby jednej granicy neutralnej na wypadek wojny należy do zawodnych nadziei, gdyż bardziej uzasadnionym przypuszczeniem jest, że przyszła wojna będzie wojną powszechną, przynajmniej w geopolitycznej sytuacji Polski.

Cały rozdział książki prof. Zweiga zajmuje rozprawa o cenie maksymalnej, przedrukowana z r. 1921. Z rozprawy tej wynika raczej tylko to, że taryfikacja cen jest bezskuteczna i bezcelowa, o ile nie jest poprzedzona głębszą ingerencją w stosunki produkcyjne. Słuszność tej zasady potwierdziło doświadczenie wielkiej wojny i właśnie po tej linii kieruje się powojenny interwencjonizm, podyktowany koniecznościami militarnemi.

Autor uważa, że w przemyśle rozproszkowanym reglamentacja jest w regule nieskuteczna, wymagałaby bowiem olbrzymiego i kosztownego aparatu kontrolnego. Z drugiej strony autor traktuje współczesne korporacje gospodarcze, jako dalszy ciąg administracji państwowej, dalsze rozgałęzienie tej administracji. Pominięty jednak został wewnętrzny związek przyczynowy między próbami reglamentacji przemysłów rozproszkowanych, a rozwojem korporacyj gospodarczych. Reglamentacja tych przemysłów musi oprzeć się na odpowiednich korporacjach zawodowych, stanowiących ten niezbędny aparat kontrol-

ny, który zaoszczędza państwu „stawiania policjanta przy każdym drobnym przedsiębiorstwie".

Korporacjonizm jest w ogóle potraktowany doktrynalnie, jako zamknięty system totalny. Obawy autora przed zamknięciem dostępu i zastojem poszczególnych zawodów i gałęzi gospodarczych są grubo przesadzone (rozdział o dysproporcjach w systemie reglamentacji). Współczesny nadzór państwowy stara się nie dopuścić do powstawania korporacyj zamkniętych na wzór późnego średniowiecza. Korporacje dokonywują raczej pewnej, planowej selekcji dopływu nowych sił.

Takie ujęcie korporacyj w zbyt czarnych kolorach jest zresztą sprzeczne z wywodami autora (str. 223) o konieczności i pożytku społecznym współdziałania pozarynkowego w postaci organizacyj, zrzeszeń i związków różnego typu. „Dla rozwiązania wielkich zadań technicznych, gospodarczych czy społecznych zachodzi potrzeba zrzeszania się, tworzenia organizacyj, związków itp.". Więc autor uznaje potrzebę korporacyj, lecz występuje przeciw nadawaniu im charakteru przymusowego, chociaż i przymus jest dopuszczalny, „gdy współdziałanie konieczne dla gospodarstwa i społeczeństwa nie da się inną drogą osiągnąć" (str. 229).

Decydującą o przyszłości każdego ruchu jest jego podstawa społeczna. Podstawę społeczną liberalizmu „odrodzonego" upatruje autor w odrodzeniu stanu średniego. Są to nadzieje, co najmniej przesadne.

Rzemiosło jest opanowane ideą reglamentacji w postaci dowodu uzdolnienia i przymusowych cechów. Wśród kupiectwa nurtują silne prądy za wprowadzeniem t. zw. cenzusu i cen minimalnych. Na terenie kupieckim pełno jest różnych form „kartelo-idalnych", ukrywających się pod eufemicznymi szyldami, jak akcja normalizacji cen, komisja cennikowa itp. Wśród pracowników umysłowych popularnością cieszą się prądy syndykalistyczne.

Najbardziej rzuca się w oczy ogólny ton omawianej pracy. Dotychczas obrona liberalizmu korzystała przeważnie z arsenału „aksjomatów gospodarczych", dowodów o „matematycznej" niepokalaności i ścisłości. W nowym credo liberalizmu poczesne miejsce zajmują „wartości emocjonalne", etyka, dobra wola (czy też autodyscyplina) i apel do lepszych stron duszy ludzkiej.

Mamy przed sobą swoistą ewolucję: od aksjomatu gospodarczego do wiary w liberalizm, jako utopię przyszłości. (Tę parafrazę słynnego tytułu nasunął mi sam autor nazywając jeden z rozdziałów końcowych swej książki: „Liberalizm-utopią przyszłości").

W końcu, nie mogę powstrzymać się od smutnej, w gruncie rzeczy — refleksji.

Ile jeszcze scholastyki tkwi w naszych dyskusjach gospodarczych! Jak silny jest jeszcze fetyszyzm słowa! Wystarczy dodać przymiotnik „liberalny" do pojęć: etatyzm, interwencjonizm, korporacjonizm, żeby móc powołać do życia zupełnie nowe twory, odmienne od dotychczasowej rzeczywistości. A wszystko po to, żeby udowodnić, że „to nie ekonomiści ponieśli klęskę w czasach powojennych" (str. 213 omawianej książki).

Józef Gwacki.

HISTORIA PEWNEGO ILOCZYNU

Dawny wskaźnik produkcji przemysłowej, ujmujący — jak się okazało — fałszywie rzeczywistość przez stałe pomniejszanie rozmiarów produkcji przemysłowej, posłużył w swoim czasie do skonstruowania przez sfery przemysłowe pewnego iloczynu, którego wartości oparte na jednym fałszywym czynniku okazały się dla tych sfer nad wyraz wygodne do negowania istniejącej dysproporcji spadku dochodów przemysłu i rolnictwa w latach pokryzysowych. Okazywało się bowiem na podstawie tych wartości, że ponoć wspomnianej dysproporcji wcale nie ma, że spadek dochodów przemysłu i rolnictwa jest równoważny.

Jako czynniki wspomnianego iloczynu uwzględniane były wskaźnik produkcji i wskaźnik cen, w rezultacie otrzymywało się wskaźnik dochodów danego działu produkcji. Wprawdzie jako rozmiary produkcji rolnej brano w wspomnianych obliczeniach całość tej produkcji wraz z samospożyciem, nie uwzględniając zmian w zbycie rolniczym, co było stosowaniem dość swoistej metody dla obliczeń wskaźników dotyczących życia gospodarczego, ale tem niemniej podobny iloczyn miał swoją siłę sugestywną, ponieważ bądź co bądź nie ulegało wątpliwości, że zmiany w zbycie rolniczym w latach pokryzysowych były względnie nieznaczne w stosunku do roku 1928 i że tem samem w każdym razie odnośny iloczyn otrzymany dla wartości produkcji przemysłowej mógł być w sposób jako tako racjonalny porównywany ze wskaźnikiem cen rolniczych (wskaźnik zbytu rolniczego można było nadal dla uproszczenia przyjmować za równy 100). A takie porównanie prowadziło właśnie do pozornego wniosku, że spadek dochodów przemysłu i rolnictwa jest równomierny. Nie wymagamy bowiem od autorów omawianego iloczynu zrozumienia już tak nieuchwytnych dla nich różnic, jak ta, że kiedy przemysł po stronie wydatków odciążył się znakomicie przez wyjątkowo silną redukcję stanu zatrudnienia, rolnictwo, brane jako całość, musiało żywić nadal nieomal niezmienną liczbę osób (poza redukcją folwarczną, która przecież w znacznym stopniu również wracała do chłopskich gospodarstw rodziny). Różnice te, jako należące do zakresu zjawisk społecznych, a nie czysto kalkulacyjnych, z reguły są przecież pomijane w rozumowaniach sfer, wśród których zrodził się sam pomysł omawianego iloczynu.

Obecnie chodzi nam o stwierdzenie, że pomijając wszystkie metodyczne zastrzeżenia co do możności wyciągania wniosków z tak skonstruowanych iloczyno-wskaźników, po usunięciu jednego z fałszywych czynników iloczynu przemysłowego, a mianowicie dawnego wskaźnika produkcji przemysłowej i po zastąpieniu go przez nowy wskaźnik produkcji przemysłowej, wymowa nawet budzących takie zasadnicze wątpliwości iloczyno-wskaźników nie będzie odbiegała od wszystkich innych wskazań w tym zakresie i prowadzić będzie do wyczuwanego powszechnie wniosku, że w latach pokryzysowych istniała i istnieje nadal silna dysproporcja między spadkiem dochodów przemysłu i rolnictwa. Żeby bowiem dojść do wniosku odwrotnego, nie wystarczało metodycznych sztuczek, a trzeba było opierać się wprost na fałszywych danych.

Lata	Ogólny wskaźnik cen artykułów przemysłowych.	Iloczyn dawnego wskaźnika produkcji przemysłowej przez wskaźnik cen.	Iloczyn nowego wskaźnika produkcji przemysłowej przez wskaźnik cen.	Wskaźnik cen artykułów sprzedanych bezpośrednio przez rolników.	Wskaźnik rozmiarów zbytu rolniczego niezbędnych do zrównoważenia dochodów rolnictwa z dochodami przemysłu.
1933	61,0	33,8	42,7	42,6	100,2
1934	59,4	37,3	46,8	37,0	126,5
1935	56,7	37,6	48,1	35,8	134,4
1936	57,1	41,1	53,8	38,7	139,0
1937	60,9	51,8	67,4	49,2	137,0

Wskaźnik podany w ostatniej kolumnie przytoczonej tabliczki został obliczony przez podzielenie iloczynu, otrzymanego z pomnożenia nowego wskaźnika produkcji przemysłowej przez wskaźnik cen, przez wskaźnik cen artykułów sprzedawanych bezpośrednio przez rolnika. W rezultacie tego dzielenia otrzymujemy wskaźnik takich rozmiarów zbytu rolniczego, które by przy danym wskaźniku cen artykułów rolniczych równoważyły dochody rolnictwa z dochodami przemysłu. Wybraliśmy tę drogę postępowania, ponieważ łatwiej jest odpowiedzieć, czy otrzymane rozmiary zbytu rolniczego w latach pokryzysowych w stosunku do roku 1928 mogą być przyjęte, jako zgodne z rzeczywistością, niż założyć z góry pewien poziom zbytu rolniczego dla wymienionych lat i przemnożyć tak przyjęte wskaźniki poziomu przez wskaźniki cen artykułów rolniczych.

Z liczb podanych w ostatniej kolumnie przytoczonej tabliczki widać, że zrównoważenie przychodów rolnictwa z przychodami przemysłu miałoby miejsce w ostatnich czterech latach pod warunkiem wzrostu w tych latach zbytu rolniczego o 26,5 do 39% w stosunku do roku 1928. Podobna wysokość wzrostu zbytu rolniczego w ostatnich czterech latach tak dalece odbiega od wszelkich innych wskazań naszej rzeczywistości rolniczej, iż z góry możemy przyjąć, że jeżeli na takim założeniu musi być oparty wniosek o równoważności spadku przychodów rolnictwa i przemysłu w latach pokryzysowych w stosunku do roku 1929, to z pewnością wniosek ten jest błędny i do skutecznego zasugerowania gó nie może już obecnie służyć nawet metoda iloczyno-wskaźników.

Metoda ta była dobra, dokąd mogła korzystać z dawnego fałszywego wskaźnika produkcji przemysłowej. Porównywując bowiem odpowiednio drugą i czwartą kolumnę podanej przez nas tabliczki, widzimy, że iloczyn dawnego wskaźnika produkcji przemysłowej przez wskaźnik cen przemysłowych kształtował się w latach 1934-1937 bardzo nie wiele powyżej odpowiedniego wskaźnika cen artykułów sprzedawanych bezpośrednio przez rolnika i że tem samem dla wyciągnięcia wniosku co do braku dysproporcji między przychodami rolnictwa i przemysłu w wymienionych latach w stosunku do roku 1929 wystarczało przyjąć jedynie bardzo nieznaczny wzrost zbytu rolniczego w latach 1934-37 w stosunku do roku 1929, co już nie wydaje się odbiegać znacznie od rzeczywistości i co w oczach autorów czyniło właśnie z metody iloczyno-wskaźników tak ponętną broń, że z łatwością nie widziało się wszystkich dziwactw zawartych w samej metodzie.

Dziś jednak trzeba będzie w obliczu zdezawuowania prawdziwości samych danych, dzięki którym mogły owe iloczyny przeżyć swój okres prosperity, szukać dróg chyba jeszcze zawilszych, jeżeli teza o braku dysproporcji między przychodami rolnictwa i przemysłu w latach pokryzysowych w stosunku do roku 1929 ma być nadal broniona. Ciekawe więc jest, czy dziwaczny iloczyn zakończy swoją historię bezpotomnie, czy też zrodzi jeszcze dziwaczniejszego potomka. Potrzeba jest przecież matką wynalazków. Poczekajmy, jak będzie wyglądał następny.

st. z.

REFLEKSJE UKRAIŃSKIE

Sprawa ukraińska w Polsce należy do tych zagadnień, które nie zostały jeszcze dostatecznie „odkryte". O Ukraińcach szeroka opinia publiczna u nas wie bardzo niewiele, a jeśli posiada w tym względzie pewne wiadomości, to prawie z reguły mało one mają wspólnego z rzeczywistością.

Problemem ukraińskim zajmuje się poważnie właściwie grono nieliczne intelektualistów. Głosy ich jednak są na ogół niesłyszane względnie... niedosłyszane. Dla sprawiedliwości podkreślić wszakże trzeba niewątpliwy wzrost zainteresowania sprawą ukraińską ze strony pewnych grup społeczeństwa polskiego, które pragną stworzenia rozumnych podstaw współżycia obu narodów.

Emocjonalne nastawienie przeciętnego np. Warszawianina lub Poznańczyka do Ukraińca, powiedzmy szczerze jest raczej nieufne, a najczęściej negatywne. ów przeciętny bowiem obywatel informacje swe czerpie z prasy codziennej, która prowadzona jest przez element materialnie lub też psychicznie związany bądź z mieszczaństwem obarczonym niestety wieloma kompleksami mającymi swe źródło jeszcze w stosunkach przedwojennych, bądź z ziemiaństwem, które od kompleksów tych również nie jest wolne. Okoliczności te oczywiście muszą wywierać swój wpływ na oświetlenie sprawy ukraińskiej, na metodę ujmowania zjawisk z nią związanych.

O Ukraińcach zatem wie się u nas niewiele, choć liczbowo stanowią oni przeszło sześciomilionową masę, choć mają poważny dorobek kulturalny i gospodarczy, choć ich codzienne życie kształtuje się niejednokrotnie pod znakiem skrajnej nędzy, zawierającej w sobie możliwości groźnych konfliktów.

* * *

Istoty problemu ukraińskiego nie da się zrozumieć bez spojrzenia w dzieje tego narodu. A dzieje te są tak smutne, jak smutną była poprzez liczne wieki chłopska dola, jak bezgranicznie smutną jest ukraińska pieśń ludowa i jak smutną jest poezja genialnego Tarasa Szewczenki, piewcy ludu ukraińskiego.

Wiele czynników na to się złożyło, że ludność ukraińska nie miała przewodnictwa. Szlachta, która na zachodzie w pewnym okresie niewątpliwie odgrywała rolę przewodnika, uległa asymilacji na rzecz innych narodów. Na zachodzie istniała t. zw. warstwa oświecona — Ukraińcy warstwy tej nigdy nie mieli. W rezultacie powstało społeczeństwo klasowo jednolite, o dość jednorodnej kulturze i obyczajach, o wspólnych troskach i wspólnej tęsknocie do wyzwolenia socjalnego, społeczeństwo par excellence chłopskie.

Ukraińskie ruchy ideowe, społeczne i polityczne, zrodzone w specyficznych warunkach socjalnych i politycznych, musiały się stać rzecz jasna radykalne pod względem społecznym, wyraźnie niechętne lub zdecydowanie wrogie w stosunku do dworu. Nic innego, o innej treści społecznej w środowisku tym powstać nie mogło — i powstać nie może.

Nacjonalizm ukraiński jest więc nawskroś społeczny, dlatego też jest wysoce atrakcyjny dla ludności ukraińskiej. Widzi ona bowiem w nim drogę do wyzwolenia społecznego, drogę prowadzącą do polepszenia warunków bytowania. Niejednokrotnie poruszano już w publicystyce, iż ukrainizm odznacza się silną dynamiką, że ukraińskie instytucje gospodarcze i kulturalne wykazują bardzo silną prężność rozwojową. Jednak nie wskazywano na istotne przyczyny tego zjawiska. Przyczyny te wynikają właśnie z klasowego charakteru ruchu ukraińskiego oraz faktu, że chłop ukraiński ruch ten uważa za realizację swych dążeń wyzwoleńczych. Każda nowo założona placówka spółdzielcza, każdy nowoutworzony ośrodek kulturalny, jak kółko dramatyczne, dom ludowy itd. — dają mu nie tylko korzyści doraźne, ale także w wyobraźni zbliżają go do upragnionego celu.

Oczywiście ogromną rolę odgrywa tu ta okoliczność, że na wsi powstała być może nieliczna jeszcze warstwa inteligencji chłopskiej, posiadającej często wyższe wykształcenie, lecz nie mającej możliwości znalezienia pracy poza swym środowiskiem. Rzadko się zdarza, aby człowiek zarabiający kilkanaście złotych miesięcznie mógł z całym zapałem poświęcać się pracy, a dodajmy pracy bardzo ciężkiej. Wśród Ukraińców zjawisko to jest na porządku dziennym.

Powiedziano wyżej, że ruch ukraiński odznacza się dość silną dynamiką, której motorem są dwa potężne czynniki: moment klasowości oraz nacjonalizm. Czynniki te przenikają się nawzajem i są nierozłączne.

Truizmem jest twierdzenie, że województwa południowo - wschodnie oraz częściowo Wołyń są gospodarczo zaniedbane, że gospodarstwa rolne karłowate stanowią tam bardzo znaczny odsetek, że teren ten cierpi na niedorozwój przemysłu i handlu, że nie ma możliwości migracyjnych, że słowem ubóstwo tam dominuje, choć rzecz oczywista nie brak i barw korzystniejszych. Warunki te wszakże mają niewątpliwe inny wpływ na kształtowanie się oblicza ukraińskich ruchów ideowo - społecznych, niż ruchów polskich na tych terenach. Zjawisko nędzy mogą oni tłumaczyć brakiem należytej organizacji oraz środków koniecznych do usunięcia nędzy. Ale mogą też tłumaczyć inaczej, zwalając winę na czynniki stojące poza nimi. W każdym razie pod wpływem warunków gospodarczych, w których ludność ukraińska się znajduje, powstaje fala niezadowolenia. Gromadzony temperament społeczny i owo niezadowolenie muszą znajdować ujście.

Czy istnieją możliwości znalezienia podstaw przy których energia społeczna Ukraińców mogła być konstruktywnie wyzyskana dla dobra Państwa? Czy istnieją drogi prowadzące do zdrowego i trwałego współżycia dwu społeczeństw we wspólnym Państwie, w którym Polacy są oczywiście gospodarzem?

— Istota ruchu ukraińskiego daje na to pytanie odpowiedź pozytywną. Problem ten jest bowiem w istocie swej przede wszystkim zagadnieniem chłopskim. Stąd wniosek, iż polityka gospodarczo - społeczna Państwa, dążąca do rozwiązania problemu chłopskiego stwarza jednocześnie podstawy do rozwiązania problemu ukraińskiego. Pomiędzy ludnością chłopską polsko - ukraińską nie ma momentów spornych, natomiast łączą ją napewno wspólne interesy i cele.

Ale zanim nastąpi tworzenie owych podstaw trwałego współżycia obu narodów, musi przede wszystkim ulec zmianie stosunek do ruchu ukraińskiego w sensie zrozumienia jego istoty.

a. r.

PLANOWANIE I PSYCHOLOGIA

Jest już tak, że sprawy i pojęcia najbardziej dyskutowane — są istotnie najmniej znane i zrozumiałe. Na przykład pojęcie planowania gospodarczego. Przyjęło się zarówno w naszej literaturze jak i publicystyce gospodarczej, jak — co o wiele gorsze — w praktycznym działaniu, identyfikować planowanie gospodarcze z manipulacją w materii, cyfrach, przestrzeni i ew. jeszcze w czasie. Przez planowanie gospodarcze rozumie się prawie wyłącznie organizację produkcji, inwestycyj, rozdziału czy przydziału towarów. Biura planowania wdzierają się w zakresy zagadnień branżowych, starają się ewentualnie projektami swymi korygować to co w danej branży istnieje, starają się co najwyżej inspirować to co w danej branży ma istnieć. *Cała działalność planowania gospodarczego zredukowała się do przyjmowania postawy sztabowców, pochylonych nad mapami zagadnień często jednostronnie wykreślonych — bez wnikania w jeden z najistotniejszych czynników wszelkiej twórczości ludzkiej, czynnik psychologiczny.* Tymczasem jeśli się chce, by ludzie stworzyli pewne fakty, trzeba w pierwszym rzędzie wypracować metodę psychologicznego oddziaływania na nich.

Przyznać musimy, że zrozumienie dla problemu „planowania psychologicznego" istnieje w niektórych zbiorowiskach posługujących się metodą planowania, — obojętne czy zrozumienie to nazwiemy świadomym czy też nieświadomym. Planowanie rosyjskie, najbardziej znane nam z programu piatiletki, wytworzyło — bo wytworzyć musiało — ruch psychiczny zwany stachanowszczyzną, nastawiło psychikę mas na rekordy ilościowe i czasowe w produkcji. (Program pięcioletni w czterech latach). Odmienny jest kierunek planowania psychicznego w gospodarce kierowanej niemieckiej. Tu szło o wytworzenie takiego stanu w ekonomice narodowej, w któ-

rym efekty indywidualnych interesów gospodarczych miały przez regulację państwową służyć określonym celom planu ogólno-gospodarczego. Można to było uzyskać nie przez generalny wyścig ilościowy w produkcji, lecz przez nie mniej intensywny wyścig w kierunku wyrzekania się zarówno przez przemysłowca jak i przez przeciętnego obywatela, możliwości użytkowania. Kierunek planowania w psychice niemieckiej posłużył się, rzecz oczywista, metodami przymusu tam, gdzie szło o rychłe spowodowanie przesunięć w dyspozycji kapitałów i w możności ich inwestowania nie na cele prywatno-przemysłowe, lecz publiczne. Ale planowanie psychiczne w Niemczech miało na celu wysunięcie na pierwsze miejsce tych właśnie inwestycji gospodarczych, które planistom niemieckim wydawały się być pierwszorzędne, i nastawienie psychiki ludzkiej na wyrzeczenie się tych efektów i tej użyteczności, jakie by im dawać mogły inwestycje z osobistych punktów widzenia potrzebniejsze. Reprezentatywnym przykładem może tu być problem inwestycji automobilowych. Starano się uczynić samochód inwestycją najpospolitszą i najprzystępniejszą dla każdego człowieka o dochodzie średnim. Ale już użytkowanie samochodu, już czerpanie bezpośrednich korzyści z tej inwestycji potrzebnej państwu — miało być i stało się o wiele trudniejsze. Na oliwę i na benzynę Niemcy nałożyły wysokie cła. Dla ochrony buny podwyższono w ostatnim czasie cła przywozowe, tak, iż opony w Niemczech są droższe niż gdzieindziej. Sam pomysł ratalnej przedsprzedaży aut ludowych „Kdf." jest tylko potwierdzeniem tezy, iż strona psychologiczna gospodarczego planowania niemieckiego polega na stwarzaniu nastawień wyrzeczenia się użytkowości bezpośredniej na rzecz użytkowości przyszłej.

Nie ma planowania gospodarczego, które by miało szanse realizacji przez samo wykreślanie kolorowych linii przez najbardziepj zręcznych kartografów. Nie ma gospodarki planowej, w której by sam pomysł technika wystarczał do zrekonstruowania systemu gospodarki, szczególnie tam, gdzie wolna konkurencja umożliwia zastępowanie racjonalności technicznej, racjonalnością komercjalną, transportową, kontygentową, czy rentową. Ponieważ planowość gospodarcza wymaga stwarzania nie tylko pewnych dla gospodarki narodowej potrzebnych przedsiębiorstw, rozwoju pewnych dla gospodarki narodowej nieodzownych działów przemysłu i handlu, a także ich odpowiedniego rozlokowania w przestrzeni — planowanie gospodarcze musi w swych metodach działania uwzględnić nie tylko istnienie samych potrzeb i ich wyznaczanie, lecz również i *warunki, które by realizację tych potrzeb umożliwiały.* Przez warunki takie rozumieć należy nie tylko środki finansowe, nie tylko możliwości natury technicznej i technologicznej, tj. nie tylko warunki dane, ale i *warunki, które powinny być stworzone.* Wśród takich właśnie warunków, których stworzenie dopiero daje podstawę dla wyplanowania i zrealizowania potrzebnych zjawisk ekonomicznych, znajduje się nastawianie psychiczne podmiotów gospodarczych, planowanie psychologiczne.

Czy planowanie psychologiczne to tylko to samo co propaganda? Otóż tak właśnie myślą najliczniejsi z pośród tych, którzy uważają, że już zrozumieli istotę planowań gospodarczych. Ale planowanie psychologiczne to nie tylko propaganda. To także propaganda. Posłużmy się przykładem. Kilkadziesiąt lat temu przyszła w Niemczech moda na ostrygi. Przyjęło się, że w restauracjach wielkomiejskich podawano gościom porcje jednorodzajowe tj. tuzin ostryg, po cenach mniej więcej do siebie zbliżonych. Porcja ostryg czyli ich tuzin kosztował, powiedzmy, trzy marki. I oto pojawił się w Berlinie restaurator o słynnym swego czasu nazwisku, Moritz Kempiński, który wprowadził w swej restauracji porcje ostryg o pół marki tańsze niż wszędzie indziej. Porcje jego nosiły tak jak gdzieindziej nazwę „porcja-tuzina ostryg" — z dodatkiem — składająca się z dziesięciu sztuk. Tuzin p. Kempińskiego miał tylko 10 sztuk. Utarg w restauracji Kempińskiego był tak wielki, że właściciel restauracji i pomysłu dorobił się olbrzymiej fortuny. W działaniu jego było pewne planowanie gospodarcze z uwzględnieniem wyraźnym momentów psychologicznych. Te same momenty psychologiczne uwzględnione zostały w polityce sprzedażnej browarów bawarskich, kiedy kilkanaście lat temu wprowadziły w rozsprzedaż zamiast ćwierćlitrowych porcji piwa, porcje o 1/5 l. Ta sama zresztą metoda zastosowana została przez wielkiego czarnoksiężnika planowania gospodarczego w Niemczech, dra Schachta, który zdążając do ograniczenia konsumcji artykułów pierwszej potrzeby ze względów oszczędności dewizowych, nie wydał żadnych specjalnych zarządzeń, ani nie wprowadził żadnych ograniczeń w zbycie żywności, lecz poprostu z końcem 1936 r. skasował w niemieckim handlu detalicznym posługiwanie się funtem metrycznym. Wprowadzono przymusowo i arbitralnie w handlu detalicznym wagę kilogramową i gramową. A skutek tego? Wyrobnik i kucharka, pani domu i jej służąca przychodzą odtąd do sklepów z wiktuałami, by zakupić nie ćwierć funta masła czy ćwierć funta kiełbasy, lecz 100 gr masła lub 100 gr. kiełbasy. Bo nikomu chyba nie wpadnie na myśl kupować 125 gr. (ćwierć funta) kiszki wątrobianej. Ludzie zwykli się posługiwać miarami zaokrąglonemi. Nie wiadomo czy i jak ściśle obliczyli statystycy dra. Schachta oszczędność konsumcji niemieckiej, która wynikła na skutek skasowania funta a wprowadzenia odważników kilogramowych i gramowych do detalicznych sklepów niemieckich. Ale taka oszczędność niewątpliwie w niemieckiej konsumcji nastąpiła.

Każde planowanie gospodarcze o ile ma aspiracje do istotnego zrealizowania go, musi uwzględniać elementy działające na nastawienie psychiczne. Dlatego to jednym z głównych instrumentów przy wyznaczaniu planów gospodarczych na małą czy na dużą skalę, jest przygotowanie psychologicznych podstaw, które by umożliwiały przyjęcie się tych planów. W biurach planowania powinni obok kartografów siedzieć psychologowie.

Adam Wolmar.

NOTATKI

NIE TYLKO SNOBIZM I PROPAGANDA

Zdarza się czasami, iż środki proponowane przez autora dla zaradzenia złu, na które zwraca uwagę, nie stoją w żadnej do siebie proporcji. Przykładem tego jest artykuł „Inteligencja i snobizm" [1]. Autor po bardzo trafnej analizie złych skutków owczego pędu do wyższego wykształcenia, proponuje środki jakie należało by zastosować aby zapobiec złu produkowania „wykolejeńców". Wykolejeńcami bowiem są ludzie, których snobizm, fałszywa ambicja lub inne przyczyny pchały do ukończenia wyższych studiów, a ograniczone zdolności na to nie pozwalały. Proponowanymi przez autora środkami mają być: a) ostatnio dokonana reforma szkolnictwa w kierunku rozbudowy nauczania zawodowego, b) propaganda, która ma uleczyć inteligencję ze snobizmu kończenia wyższych studiów oraz c) zaostrzona selekcja w szkołach średnich i wyższych pod kątem widzenia uzdolnień. Niewiadomo dlaczego tak duży sukces w tym względzie ma wedle p. A. J. odnieść propaganda. Ani nie jesteśmy czuli na propagandę, ani nie jest ona u nas wysoko postawiona, ani też nie ma jej kto robić. Reforma szkolnictwa nie będzie również środkiem wystarczającym. O selekcji autor wspomniał dopiero na 3 miejscu. Wielka szkoda. Bo właśnie *ostra, bezwzględna i obiektywna selekcja, prowadzona z całą konsekwencją* od freblówki, poprzez szkołę powszechną, gimnazjum i liceum do wyższych uczelni może doprowadzić do produkcji istotnej elity umysłowej. Oczywiście w drodze selekcji można jedynie dokonać wyboru najzdolniejszych jednostek. To nie wystarcza. Trzeba im jeszcze dać możność ukończenia studiów. Trzeba im dać możność *studiowania*, a nie odwalania egzaminów pomiędzy jedną „korką" i drugą. Innymi słowy obok dokonanej już reformy szkolnictwa w sensie rozszerzenia kierunków zawodowych, trzeba dokonać reformy zasadniczej i głębszej. Nauka musi być powszechnie dostępna, ale dostęp do najwyższych szczebli powinni mieć tylko ci, którzy mają po temu walory wewnętrzne a nie formalne czy materialne. I tutaj propagandą niewiele się zdziała, aczkolwiek środek ten jako bezbolesny i aż nadto miękki, najbardziej odpowiadałby mentalności „miagkotiełych intieligientow". Środkiem prowadzącym do celu obok udostępnienia nauki dla najuboższych, a zamknięcia jej dla zamożnych niezdolnych, jest przekształcenie naszej mentalności. Dopóki sprawdzianem wartości człowieka i legitymacją przynależności jego do „lepszej" części społeczeństwa będą: białe ręce, kołnierzyk i kapelusz, nie zaś jego istotna wartość i użyteczność społeczna, dopóty pęd do posad nie ustanie. Nie ustanie on dopóki praca inna (nie poza biurkiem) będzie w pogardzie, zaś praca fizyczna będzie ponadto nieproporcjonalnie gorzej wynagradzana. Światopogląd loteryjno-emerytalny wraz z pozostałościami szlachetczyzny musi być zastąpiony dążnością do wzbogacenia się własną pracą, ryzykiem i przedsiębiorczością. Propaganda i odpowiednie wychowanie potrzebne są po to, aby ideałem młodzieży stał się adventure and busines — selfmademan. Natomiast doboru studiujących na wyższych uczelniach musi dokonywać z całą bezwzględnością Państwo w dobrze zrozumianym swoim interesie i interesie niedopuszczonych do wyższych studiów obywateli, którzy mogą posiadać poza tem tysiące zalet i wartości, dających się wykorzystać z pożytkiem dla nich i ogółu w rozległych możliwościach współczesnego życia.

Nie należy również łudzić się, że dopóki o doborze kandydatów do wyższych studiów decydować będzie dzisiejsza inteligencja (dziedziczna w naszym ustroju i przy naszych urządzeniach społeczno-gosp.), dopóty nadal będziemy posiadali „inteligencję" w przeważającej masie rodową i na niskim poziomie intelektualnym.

a. s.

[1]) Gospodarka Narodowa Nr. 16/1938.

SYLWETKA RZECZYPOSPOLITEJ

Słowa „sylwetka" użyłem w sensie najbardziej dosłownym, optycznym: chodzi mi o sylwetkę granic Rzplitej, widoczną na mapach, a również coraz częściej używaną przy sporządzaniu poglądowych grafikonów i nawet w akcji reklamowej i propagandowej poszczególnych przedsiębiorstw. Z sylwetki tej z reguły wycina się terytorium W. Miasta Gdańska. Sylwetkowcy mają na swą obronę to, że również w bardzo licznych mapach W. Miasto traktowane jest jako „zagranica", a więc mniej szczegółowo wypełniane treścią kartograficzną i oddzielane od Rzplitej linią graniczną identyczną do granic państwowych.

Obyczaj ten wydaje mi się być nader niewłaściwy i porzucenia godny — tem bardziej, że rozpowszechnił się od niedawna dopiero. Niewłaściwość tą zaś podnieść należy właśnie na łamach czasopisma gospodarczego, gdyż popełniając ją, pp. kartografowie wchodzą w kolizję przede wszystkim z rzeczywistością gospodarczą, w myśl której W. Miasto Gdańsk jest częścią składową organizmu ekonomicznego Rzplitej. Tak twierdzić każe zarówno stan prawny, jak i stan faktyczny, tworzony przez życie. Gdańsk związany jest z Rzplitą nie tylko wspólną granicą celną, a w licznych wypadkach wspólną granicą dewizową, nie tylko brakiem normalnych wymagań paszportowych w ruchu podróżnych — lecz również całą swą strukturą gospodarczą, konstrukcją swych rynków zbytu, organizacją swych przedsiębiorstw itp. Jest rzeczą oczywistą i powszechnie znaną, że ustrój polityczny Gdańska wyglądałby zgoła inaczej niż obecnie, gdyby go dosto-

sowano do warunków i potrzeb gospodarczych, a mianowicie, że w tym wypadku wyrzucanie W. Miasta z map Rzplitej byłoby jeszcze bardziej niewłaściwe i wprost niewygodne. Przeto wedle gospodarczych tylko przesłanek, praktyki te są niewłaściwe i niewygodne również obecnie.

Pomijanie Gdańska na mapach Rzplitej tłomaczyć można chyba tylko podświadomą „obrazą" na Gdańsk za jego aktualne oblicze polityczne. Jest w Polsce przysłowie: pogniewał się gdański burmistrz na polskiego króla" — i treścią tego przysłowia jest śmieszność tkwiąca w rażącej dysproporcji, ale już nie śmiesznie a niemądrze wyglądałoby powiedzenie, że polski król pogniewał się z gdańskim burmistrzem. Niemądrą też jest ta podświadoma obraza naszych kartografów, prowadząca do takich absurdów, że np. na mapach automobilowych nie rysuje się szos gdańskich, choć pełno na nich polskich samochodów, bez żadnego tryptyku tam krążących. Pomijając zupełnie względy polityczne (które napewno za moją tezą przemawiają), powołując się tylko na względy gospodarcze oraz na wzgląd praktycznej użyteczności i obiektywnej prawdziwości map i sylwetek geograficznych — proponuję, aby nie pchać cząstkowej, niezupełnej granicy polsko-gdańskiej tam, gdzie to nie jest konieczne. Nie trzeba psuć sylwetki Rzeczypospolitej.

s. r.

ROWER NA WSI

Nie sięgając po dane, jakie zapewne posiada Polskie Radio, lecz opierając się jedynie na przypuszczeniu, że układ programu odpowiada popytowi na poszczególne typy audycyj, oraz opierając się na obserwacjach, jakie każdy mieszkaniec blokowego domu może poczynić w miesiącach letnich, kiedy się nie zamyka okien — wolno twierdzić, że z punktu widzenia miasta radio jest poprostu formą najłatwiej dostępnej, taniej, masowej rozrywki. Rola informacyjna jest z pewnością na drugim planie. Mieszkaniec miasta nie zadawalnia się informacją suchą, pragnie komentarza, zestawienia jej z innemi, słowem tego wszystkiego, co znajduje dopiero w czasopismach, zaś audycje o typie kształcącym są, jeśli chodzi o audycje przeznaczone dla miast, przede wszystkim obliczone na zainteresowania młodzieży. Zresztą i one są na drugim planie w stosunku do fali muzyki lekkiej.

Zupełnie inaczej wygląda kwestia w perspektywie wsi, gdzie radio zastępuje cały szereg innych form kontaktu z cywilizacją i kulturą współczesną, form niedostępnych w życiu wiejskim. Sądzę, że jakikolwiek materiał dowodowy jest tu zbędny z chwilą uprzytomnienia sobie, jak wygląda skala czytelnictwa dzienników i czasopism, z chwilą zdania sobie sprawy, że czy to akcja teatrów ruchomych, czy akcja biblioteczna, czy też wreszcie oświata pozaszkolna są albo w zaczątku, albo ogarniają zupełnie drobną garstkę. Nawet pozaszkolna oświata fachowo - rolnicza lub akcja samokształceniowa organizacyj wiejskich, takich jak Koła Gospodyń Wiejskich i organizacje młodzieżowe, mogą być już uznane za akcję masową, ale ciągle jeszcze obejmują tylko ułamek ludności i terenu. Radio-odbiornik w stosunkach wiejskich ma przeto nie tylko tę rolę, która mu z natury rzeczy przypada, ale równocześnie rolę namiastki i pioniera w stosunku do innych dróg penetracji oświaty na wieś.

Zupełną analogię z powyższym zagadnieniem wykazuje drugi problem, pozornie zupełnie odmienny. Rower w mieście w stosunkach polskich jest oczywiście także środkiem komunikacji, ale przede wszystkim jest przedmiotem sportu. Nasze stosunki urbanistyczne i obyczajowe musiałyby ulec bardzo daleko idącej zmianie, aby rower zaczął odgrywać tę rolę, jaką ma na Zachodzie lub choćby na Śląsku. Na wsi „roweryzacja" jest małą rewolucją. Rewolucją w dziedzinie nie tylko komunikacyjnej, lecz i w dziedzinie kulturalno - cywilizacyjnej, a nie jest też pozbawiona znaczenia pod kątem gospodarczym. (Tak samo zresztą jak i radio). Dzisiejsze kontakty gospodarza wiejskiego poza jego wsią polegają przede wszystkim na wyjazdach na targ. Dopiero sprzedaż jakiejś partii produktów rolnych legitymuje użycie konia i wozu. Tem właśnie między innymi, że targi są formą kontaktu z bardziej oddalonymi środowiskami, tłumaczy się ich popularność, ale też trzeba stwierdzić, że ten teren kontaktu nie jest napewno terenem płodnym i korzystnym. Rower, zwłaszcza dla młodzieży wiejskiej, rozwiązuje zagadnienie komunikacji na dalsze dystanse bez kosztów, pozwala na czynny udział w pracach oświatowych i organizacyjnych, na lepszą orientację w stosunkach rynkowych itd. Jeśli się zważy, że w odniesieniu do większej części wsi polskiej czynnikiem hamującym postęp gospodarczy jest czynnik niedostatecznej oświaty i kultury, że pomimo przeludnienia i braków kapitałowych w warunkach polskich byłby możliwy postęp gospodarczy pod warunkiem podniesienia poziomu kulturalnego, wolno twierdzić, że niezależnie od bieżących korzyści gospodarczych, jakie radio i rower dają gospodarzowi wiejskiemu dzięki lepszej informacji o stanie rynku, zarządzeniach władz itp. — rentowność pośrednia radia i roweru jest z pewnością bardzo wysoka.

Jest jeszcze jeden czynnik, który tym dwu sprawom nadaje szczególne znaczenie. Powszechnie utarł się słuszny chyba pogląd, że chłop polski posiada znaczne zdolności techniczne. Niewątpliwie jednak okazja do zetknięcia się z techniką, do zetknięcia się z maszyną, choćby nieco bardziej skomplikowaną, jest niewielka. A przecież zagadnienie oswojenia się z maszyną odgrywa rolę całkiem pierwszorzędną w postępie uprzemysłowienia, co widać chociażby na przykładzie Rosji Sowieckiej, gdzie jedną z największych bolączek był całkowity brak przygotowania do pracy w zmechanizowanych warsztatach wśród rekrutujących się ze wsi robotników. Rower, a przede wszystkim radio — to dla młodzieży wiejskiej elementarny szczebel kształcenia technicznego.

Wniosek końcowy: sprawa roweru i radia na wsi jest sprawą o dużym nie tylko gospodarczym znaczeniu, o konsekwencjach wtórnych tak poważnych, że można ją uznać za podstawowy element modernizacji wsi polskiej. Jest to zatem sprawa tego typu, w której polityka gospodarcza powinna dać hierarchię

pierwszeństwa postulatowi rozpowszechnienia roweru i radia nad wszelkimi innymi postulatami. Toutes proportions gardées — tak jak wtedy, gdy w grę wchodzi zagadnienie obrony, poświęca się szereg celów drugorzędnych, tak samo w imię rozpowszechnienia radia i roweru na drugi plan powinny być sprowadzone cele takie, jak dajmy na to ułatwienie produkcji krajowej, czy rentowność przedsiębiorstwa Polskie Radio.

Zajrzyjmy do Taryfy Celnej. Stawka celna na rowery wynosi 68 zł od sztuki. Rezultat — całkowita prohibicja dla importu rowerów. Przypuśćmy, że mogliśmy się z tem pogodzić. Ale import części dla montowania ich w kraju jest również obciążony cłem. Produkcja krajowa rzecz prosta nie osiąga ani tej skali masowości, by koszty mogły być do minimum obniżone, ani też przy braku konkurencji ze strony importu nie posiada dostatecznego bodźca dla obniżenia cen. Przed dwoma laty uprzytomniliśmy sobie, że w polityce motoryzacyjnej popełniamy błąd, dążąc do osiągnięcia wzajemnie wykluczających się celów. Rezultatem tego było wprowadzenie zwrotu podatku dochodowego. Oczywiście w odniesieniu do rowerów system taki jest nie do pomyślenia. Natomiast znacznie prostszy zabieg, obniżka stawki celnej, napewno byłaby dziś na miejscu.

Polskie Radio przed dwoma laty zrewidowało taryfę opłat abonamentowych. Posiadaczom aparatów kryształkowych na wsi ułatwia to życie, zwalniając ich od formalności, jakim poprzednio byli poddani. Natomiast w stosunku do aparatów lampowych wspomniana zmiana taryfy równa się wykluczeniu użycia tych aparatów przez drobnego rolnika (3 złote zamiast poprzedniej stawki 1 zł). Rzecz jest tem przykrzejsza, że ma charakter cofnięcia już poprzednio zastosowanej i skutecznej ulgi.

Drugie zagadnienie to kwestia popularnego radioodbiornika. Bez jakiegokolwiek wypadku dewizowego można było by mieć na rynku polskim niemiecki pierwszorzędny aparat popularny w cenie około 80 zł, a zatem w cenie dostępnej dla zamożniejszego chłopa, dla wiejskich świetlic, organizacyj itp. Oczywiście jeszcze przyjemniej było by, gdyby za tę samą cenę można było mieć aparat krajowy. Wydaje się jednak, że cel radiofonizacji wsi jest na tyle doniosły, że gdyby czy to z przyczyny postawy władz czy też z racji stanowiska przemysłu tani popularny radioodbiornik krajowy miał pozostać w sferze projektów, jedynym słusznym wyjściem byłoby ułatwienie importu.

a. u.

„PRZEGLĄD EKONOMICZNY"

organ Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie
kwartalnik poświęcony badaniu podstawowych i aktualnych problemów gospodarczych i społecznych.

Ukazał się właśnie tom XXIII, który zawiera następujące rozprawy: dra Jana Karola *Sondla*, Jan Stecki, ankietę Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego w sprawie: „Wolny handel czy zbliżenie się do autarkii", zawierającą uzasadnienie ankiety oraz głosy pp. dyr. Wacława *Fabierkiewicza*, prezesa Bogusława *Hersego*, red. Witolda *Ptaszyńskiego*, min. Henryka *Strasburgera*, prof. Czesława *Strzeszewskiego*, dra Kazimierza *Studentowicza*, min. Juliusza Trzcińskiego i prof. Leopolda *Caro*, wreszcie rozprawę posła Brunona *Sikorskiego* pt. Fragmenty polskiej polityki gospodarczej. Nadto tom zawiera zwykłe rubryki: Z kraju i ze świata, oraz 14 recenzyj.

W poprzednim tomie (XXII) ukazały się rozprawy prof. Ign. *Czumy:* Duchowe pierwiastki w skarbowości polskiej, X. prof. Al. *Wóycickiego:* Ku ustrojowi korporacyjnemu, b. posła Mariana *Rudzińskiego:* Powojenne stosunki kredytowe w rolnictwie polskim, prof. Tad. *Brzeskiego:* O niepodzielności gospodarstw włościańskich, prof. Józefa *Krála* z Pragi Czeskiej: Masaryk jako socjolog, prof. Czesława *Strzeszewskiego:* Przebudowa agrarna Rosji sowieckiej, oraz wspomnienie pośmiertne o śp. Władysławie Grabskim.

W „Bibliotece Pol. Tow. Ekon. we Lwowie ukazało się jako t. IX, dzieło pt. Polityka Gospodarcza III Rzeszy, część I, str. 152, na które składają się prace prof. Leopolda *Caro* pt. Przewrót gospodarczy III Rzeszy i doc. Ant. *Żabki-Potopowicza* pt. Rolnictwo w III Rzeszy. Cena zł 5.—, dla członków zł 3.50. Druga część tego dzieła ukaże się w listopadzie br.

Dotąd „Przegląd Ekonomiczny" posiada 110 współpracowników a w Pol. Tow. Ekon. wygłaszano odczyty 113 prelegentów, w tym 51 profesorów i docentów szkół akademickich, 19 ministrów i wiceministrów byłych i obecnych.

Redaktor: Prof. Leopold Caro, Lwów, ul. Akademicka 21 II.

Prenumeratę „Przeglądu Ekonomicznego" w kraju zł 15.—, zagranicą zł 20.— za 4 tomy w objętości 32 — 40 arkuszy druku rocznie, uiszczać należy na nr 154.383 P. K. O. Dla urzędników państwowych, samorządowych, oraz słuchaczy wyższych uczelni, zamawiających pismo wprost w redakcji, prenumerata ulgowa wynosi rocznie zł 12.—. Członkowie Pol. Tow. Ekon. płacą rocznie tytułem wkładki zł 18.— wpisowe (jednorazowo) zł 3.—, osoby prawne rocznie zł 66.—, wpisowe zł 15.—. Otrzymują za to „Przegląd Ekonomiczny" bezpłatnie a dzieła wydawane w „Bibliotece" nabywać mogą po znacznie zniżonych cenach, korzystają z biblioteki i czytelni Towarzystwa, nadto uczestniczyć mogą w zebraniach z prawem zabierania głosu w dyskusji. Cena tomu w sprzedaży księgarskiej zł 4.—.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
ALEKSANDER KWIATKOWSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.